

BIBLIOTEK
MIEJSKA
Im. SZCZESKIEGO
336-01

0



Szanownemu Profesorowi Uniwersytetu.
Pani Józefowi Kajetanowi
Mówią najwyroczyz powiadanie
od autora.

~~L. S.
T. a.~~

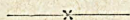
KONIEC STUARTÓW.

626.

884-2

ZNAK KLAS. DZIES.: 891.85-2

KONIEC STUARTÓW.



DRAMAT HISTORYCZNY W 5 AKTACH A 7 ODSŁONACH

przez

JULIUSZA FALKOWSKIEGO.



W KRAKOWIE,
CZCIONKAMI DRUKARNI „CZASU“
pod zarządem Józefa Łakocińskiego.

1880.

Autor zastrzega sobie prawo do przedstawienia Sztuki na scenach,
na których nie była jeszcze przedstawiona.



82-1/-9

Nakładem Autora.

Akc. 3 2009

DO

J. W. Z HRABIÓW RZYSZCZEWSKICH
PANI HRABINY ZOFII WODZICKIÉJ.

Pani Hrabino!

W salonie Pani Hrabiny — przybysz z dalekich stron, obcy w Krakowie, Jój jednéj tylko zdawna znany — znalazłem kółko życzliwe, zachętę do tak niewdzięcznéj u nas literackiéj pracy — i więcéj jeszcze: przyjaźń szczerą, serdeczną, która się w każdéj okoliczności stwierdzała w sposób najdelikatniejszy i najszlachetniejszy.

Nie mogę się Pani Hrabinie, inaczej odwdziaczyć, jak składając u stóp Jój tę pracę, w którą włożyłem, co mam, może najlepszego, w méj duszy. Zechciej ją Pani przyjąć dobrém sercem, aby Jój była pamiątką — gdy mnie już nie będzie — mojej czci, wdzięczności i statecznej od ćwierć wieku przyjaźni.

Autor.

OSOBY:

KSIĄŻĘ KAROL EDWARD STUART HRABIA D'ALBANY.

KSIĄŻĘ HENRYK BENEDYKT STUART KARDYNAŁ D'YORK, jego
brat.

MAC GREGOR, Doktor przywiązany do osoby Ks. Karola.

HRABIA WIKTOR ALFIERI.

MARGRABIA TULIBARDIN.

HRABIA DUNBAR.

PODESTA FLORENCKI.

X. KANONIK WATYKAŃSKI.

Kilku panów ze szlachty szkockiej.

Stary lokaj.

LUDWIKA VON STOLBERG-GEDERN HRABINA D'ALBANY, żona
Ks. Karola.

KAROLINA WALKENSHAW, córka naturalna Ks. Karola.

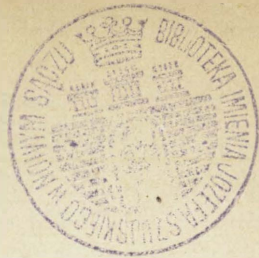
Służka klasztorna.

Służba — Lud — Księża — Bractwo pokutników.

Rzecz dzieje się w pierwszym akcie we Florencyi, w następ-
nych w Rzymie r. 1788.



Grano po raz pierwszy w Krakowie d. 20 Maja, w Warszawie 14 Czerwca
1876 roku.



AKT PIERWSZY.

•◊•

(Pokój księcia Karola Edwarda we Florencji — drzwi na prawo, na lewo i w głębi).

SCENA I.

(Wkoło stolika siedzą na kanapie: Alfieri i Hrabina d'Albany, Ks. Karol w fotelu Voltaire, obok niego Mac Gregor. Alfieri ma rękopism przed sobą, książkę Karol zdrémany).

HRABINA *(patrząc na męża).*

Drzémie znowu *(ruszając ramionami)*. Nie zważaj na to hrabio Alfieri! Proszę, czytaj dalej tę wspaniałą scenę Tymoleona.

ALFIERI *(czyta).*

„Przebaczam ci bracie!... Przebacz mi nawzajem! Umieram, podziwiając twoją enotę.“

KS. KAROL *(otwierając oczy — przerywa mu).*

Któż to mówi?

ALFIERI.

Tymofaniusz umierający do brata swojego Tymoleona, który zgładzić go kazal.

KS. KAROL.

I podziwia cnotę tego brata!?!... Była-to widać u niego jakaś nieuleczona mania!

HRABINA.

Spij książkę albo słuchaj, ale nie przerywaj w miejscach najbardziej wzruszających.

ALFIERI.

Tymoleon kochał czule swego brata, lecz więcej jeszcze kochał ojczyznę, której Tymofaniusz stał się tyranem i dlatego Tymoleon nie wahał się poświęcić go a starożytność cześć mu za to składała, stawiając wyżej uczucia obywatelskie nad uczucia rodzinne... Ale sztuka ta nie przypada do smaku Waszój Królewiczowskiej Mości, może scena jaka z innój z moich tragedyj, naprzykład z Meropy, albo z Maryi Stuart więcej go zająć zdoła?

HRABINA.

Z Meropy?... Ach, jakże rada będę posłuchać téj tragedyi, ażeby ją porównać z Meropą Voltair'a... Ale przejdźmy hrabio Alfieri do drugiego salonu; po skończeniu Tymoleona, będziesz pan czytał Meropę spokojnie, bez przerywania, dla mnie samój tylko...

(Wstaje — Alfieri podobnież).

KS. KAROL *(do żony)*.

Cheesz odejść?... Zostań Ludwiko... Zostawiasz mnie zawsze sam na sam z Mac Gregorem, a my dwaj już nie mamy sobie nic nowego do powiedzenia.

HRABINA.

Sądziś więc książkę, że miło jest hrabiemu Alfieri czytać swoje utwory wobec osoby, która drzémie i budzi się na to tylko, aby mu przerywać? *(zbliża się do męża i całuje go zimno w czoło).*

KS. KAROL.

Zostańże... nie będę już przerywał.

HRABINA.

Nie! innym razem hrabia Alfieri przeczyta ci swoją Maryę Stuart i to zapewne cię zajmie...

KS. KAROL (*biorąc ją za rękę*).

Ale proszę cię — zostań!

HRABINA.

Ach, to zaczyna być nudnem! (*idzie ku drzwiom na prawo*) Chodź panie poeto.

(*Wychodzą oboje*).

SCENA II.

KS. KAROL — MAC GREGOR.

KS. KAROL.

Zimna dla mnie jak głaz. Niczem jestem dla niej! — O, mój stary!... Jakaż to próżnia wokoło mnie w tym wieku, kiedy jedno już tylko czule przywiązanie blizkich nam istot czyni życie znośnem. Cóż mi pozostało na starość?... Bolesne wspomnienia, tkwiące w méj pamięci, jak noże w ranach — i nic więcej.

MAC GREGOR.

Mości książkę, mam ja tu książkę... (*dobycia książkę z kieszeni*) więcej zajmująca, niż wszystkie owe tragedye Alfiergo (*zażywa tabaki*). Jest-to wyborny traktat o dyagnozie — bardzo głębokie poglądy (*patrzy chwilę na księcia, który o czém inném zdaje się myśleć*). Ech!... ani mnie słucha! (*chowa książkę do kieszeni*).

KS. KAROL (*jakby do siebie*).

Sumiennie jednak nie mogę brać za złe Ludwice, że lubi słuchać tragedyj Alfierego, chociaż mnie one wcale nie bawią. Jest-to jedyna jój rozrywka.

MAC GREGOR.

Książę masz wiele ufności w tym Włochu. Jest-to jednak poeta... młody... i dalibóg... przystojny... A poeci to kusiciele kobiet. Wąż, co skusił Ewę (*zażywa*) musiał zapewne jakiś sonet do niéj wypalić.

KS. KAROL.

Cicho bądź stary marudo. Hrabina d'Albany jest moją żoną i nie pozwalam ci żadnych powątpiewań o jój enocie. Rozumiesz!

MAC GREGOR.

Cnota hrabiny jest dla mnie rzeczą świętą. Mości książę... tylko...

KS. KAROL.

Tylko co?

MAC GREGOR.

Tylko powiadam, ogólnie mówiąc, z mego doktorskiego, fizyologicznego i medycznego stanowiska, że cnota kobiety nie jest żadną opoką, kiedy tak często topnieje...

KS. KAROL.

Oh! wy starzy doktorowie w nie nie wierzycie. Wiem ja, że Ludwika nie ma i nie może mieć dla mnie miłości. Jestem stary, znękany zmartwieniami, częstokroć gwałtowny; ożeniłem się dlatego jedynie, ażeby mieć potomka, któryby ród mój utrzymał, a że mi Pan Bóg tego odmówił... nie ma więc żadnego czulszego łącznika między mną i młodą, jak ona kobietą... tylko... przysięga przed ołtarzem. Ale Ludwika nie jest kobietą pospolitą, ma wzniosłe uczucia, szla-

chetną dumę, wie co winna jest nazwisku, które nosi i nie boję się o nią...

(Hrabina wchodzi i przegląda się w zwierciadle).

SCENA III.

CIŻ. — HRABINA.

KS. KAROL *(mówiąc dalej)*.

Ot... patrz!... Jakaż to postać wspaniała!... Jakie pyszne wejrzenie!... Przyznaj stary, że stworzona, aby nosiła koronę.

HRABINA *(zbliżając się do kanapy)*.

Zapomniałam mojego wachlarza!

KS. KAROL *(bierze ją za rękę)*.

Pocałuj mnie raz jeszcze Ludwiko!... *(Hrabina całuje go zimno w czoło. Księżę wstrzymuje ją za rękę)*. Wróćcie tutaj!

HRABINA.

Ach, jeszcze? Chceszże więc uczynić ze mnie niewolnicę przykutą do twojego fotelu i zmuszoną rzec się wszystkiego, co mi przyjemność sprawić może?

KS. KAROL.

Idź więc, kiedy ci tak miło być bezemnie...

(Hrabina odchodzi).

SCENA IV.

KS. KAROL. — MAC GREGOR.

KS. KAROL *(gwałtownie i jakby do siebie)*.

Boże!... Gdyby mnie ta kobieta zdradziła! i gdybym się o tym przekonał!... nie potrzebowałbym kata, jak Henryk VIII... zginęłaby z tej oto mojej własnej ręki.

MAC GREGOR.

O, o!... Mości ksiązę, tego nie uczyniłbyś, to sprawiedliwość kaduka!

KS. KAROL.

Jakto? Gdyby zdradziła święte zaufanie, jakie w nią położyłem i shańbiła gasnące imię Stuartów, byłaby ona godną żyć jeszcze? Och! nie — ani na chwilę dłużej. — Zresztą nie mówmy o tém, bo na samą tę myśl krew burzy się we mnie!... (*zwiesza głowę i po chwili*) I pomyśleć, że miałem przy sobie istotę oddaną mi całym sercem, całą duszą, i że ją poświęciłem dla bezrozumnej pychy... Biedna moja Klementyna! Nie była ona księżniczką, nie była nawet moją żoną ślubną, ale była moim aniołem stróżem. Widzę ją jeszcze, jak z narażeniem życia przyplęwała o zmroku w małej łódce na wyspę Skye,*⁾ gdzie, przebrany za żebraka, kryłem się w najciemniejszej z jaskiń Benalderu po mojej klęsce pod Culloden a Klementyna przynosiła mi pożywienie, wiadomości od przyjaciół i trochę otuchy. Ona jedna utrzymywała życie moje i moją odwagę... Ale już setny raz opowiadam ci tę historję mój stary.

MAC GREGOR.

Cóż to znaczy. Podobne opowiadania słyszeć można sto razy z jednakiem zajęciem (*zazrywa*), bo nas godzą z ludzkością, a Waszój Królewiczowskiój Mości miło o tém mówić.

KS. KAROL.

A jakżeż była piękna! jaśniejąca szczęściem, gdy przybyła mi donieść, że już niema wojska angielskiego w okolicy, a przyjaciele czekają na mnie z łodzią na brzegu morza. Żal mi prawie było porzucić moją jaskinię, bo sądziłem, że zarazem trzeba mi będzie rozstać się z tą miłą, opiekuńczą istotą, a żyć bez niej zdawało mi się niepodobnym. Wyznałem jój moje uczucia przy pożegnaniu, a ona podała

*⁾ Wymawiać Skay.

mi rękę mówiąc: pójdę za tobą wszędzie, gdziekolwiek los cię rzuci, i... mężnie wsiadła ze mną na łódź. Gdyśmy odbijali od brzegu, spojrziała ku góróm rodzinnym, wspomniała zapewne na rodziców, braci, siostry, na wszystko co było jój drogiem i co dla mnie opuszczała!... Zapłakała zcicha, ale po chwili otarła łzy i odtąd żyła już tylko dla mnie.

MAC GREGOR.

Byłem tego świadkiem.

KS. KAROL.

Prawda. Wziąłem Cię na mojego domowego lekarza, kiedym jeszcze z nią razem mieszkał w jednym zakątku Paryża. Był to czas szczęścia mojego... Klementyna starała się każdą chwilę życia umilić mi, a ja odpłacałam jój równą miłością. Uważałem ją za żonę moją przed Bogiem.

MAC GREGOR.

Był to prawdziwy typ Szkotki. Piękna do uwielbienia a mężna jak rycerz!

KS. KAROL.

A przypominasz też sobie małą Karlusię, córeczkę naszą, pieszczołkę moją, co się wdrapywała na moje kolana i wlepiła we mnie swoje czarne oczy, i igrała... i szczebiotała... i przymilała się do mnie po całych godzinach!... Mój Boże! w takich chwilach nie pamiętałem, że jestem Stuartem, że mam koronę do odzyskania. Byłem szczęśliwy i czegoż mi trzeba było więcej!

MAC GREGOR.

Mości ksiązę, nie myśl o tém... masz oczy pełne łez, a w wieku Waszój książęcej Mości, nie jest-to wcale na zdrowie.

KS. KAROL.

Och! jest czego oczy wyplakać mój stary!... (uderza

pięścią w stół) bo to szczęście rozbiłem własnymi rękami!...
(dzwoni, lokaj wchodzi) Moją flaszkę Whiskéj!
(Lokaj odchodzi).

MAC GREGOR.

Jakto? jeszcze wódki! Toż książe jesteś niepoprawny. Co u Pana Boga! czy to przystoi tak dostojnej osobie, jak Wasza książęca Mość, bohaterowi głośnemu na świecie, a z dziedzicznego prawa królowi Anglii i Szkocji, pić gorzałkę jak prosty wyrobnik!

KS. KAROL.

Dajże mi pokój z morałami!

MAC GREGOR.

Ależ książe się zabijasz, powtarzam mu to po raz setny i dowiodę wszystkimi książkami medycznymi, zaczawszy od Hipokratesa. *(Lokaj przynosi flaszkę wódki Whiskéj z kielichem i stawia na stoliku obok księcia. Mac Gregor porywa flaszkę w rękę).*

KS. KAROL *(wyrywając mu ją).*

Idź do djabła z twoją medycyną!

MAC GREGOR.

Do djabła z medycyną?... *(zażywa)* Wiedz Mości książe, że wszystko na świecie jest głupstwem prócz jednej medycyny. Medycyna... to korona umiejętności! bo w niej zdrowie ludzkie. *(Przez ten czas ks. Karol nalewa sobie kielich wódki i wychyla).*

KS. KAROL *(stawiając wypróżniony kielich na stole).*

Co mi tam bredzisz; serce mi stygnie... świat i życie idą mi w obrzydzenie i mam sobie odmawiać kieliszka wódki, który mnie pokrzepia?

MAC GREGOR.

No!... stało się! bylebyś książe nie pokrzepiał się więcej w ten sposób.

KS. KAROL (*stawiając kielich na stole*).

Tak, własnymi rękami rozbiłem moje szczęście!... Chciało mi się odwetu za moją klęskę pod Culloden, a przyjaciele moi rozdmuchiwali ciągle to tlejące we mnie zarzewie... W ich oczach Klementyna była główną zawadą na mojej drodze. Przez kilka lat nastawali na mnie, ażebym ją poświęcił przyszłości mojej dynastyi i szukał żony między księżniczkami z panujących rodów. Obudzili oni szaloną ambicyę w mojem sercu i pewnego poranku odesłałem moją Klementynę z małą Karlusią do jej rodziny.

MAC GREGOR (*zażywa*).

Bo téż księżęta nie są właściwie zrodzeni do sielankowych miłości, ale do polityki, która nie ma serca, podobnie jak medycyna a zwłaszcza chirurgia.

KS. KAROL.

Klementyna żyła i umarła we łzach... Zabiłem ją powoli!... A moja Karlusia, biedna sierota — została na opiece jakiejś krewnej. Lord Murray, dawny mój gubernier, czasami pisywał mi o niej, układał nawet projekt małżeństwa jej ze swoim młodszym synem, ale od jego śmierci nie wiem co się z nią stało. I ona umarła, jestem tego pewny... Zgotowałem grób tej lubej dziecinie tak jak i jej matce!.. Och! zimno śmiertelne mnie przejmuje!... (*chwyta flaszkę, nalewa sobie wódki i pije gorączkowo i z pośpiechem*).

MAC GREGOR.

Ależ na miłość boską! Mości księżę!... (*gestykuluje*).

KS. KAROL.

A nadzieje moich przyjaciół! Runęły jak zamki na lodzie! Ze wszystkich księżniczek, jedna zaledwo znalazła się i to właściwie tylko hrabianka, niby udzielna, na hrabstwie nie większem jak dobry folwark angielski, panna Ludwika von Stolberg-Gedern, której dosyć podobało się zostać żoną prawego dziedzica koron Anglii i Szkocyi, i ta nawet dziś

mną pomiata!... a potomka, na któregośmy liczyli... nie-
ma — i nie będzie!

MAC GREGOR (*zażywa*).

Mości książę, nie jesteś sam w tym przypadku. Potomka
zamówić sobie nie można.

KS. KAROL (*uderzając się w czoło*).

Ech! na prawdę, lepiej że go nie ma, bo cóż mógł-
bym mu przekazać? Nie więcej, jak niedolę. Odzyskać ko-
ronę przodków moich niepodobna inaczej, jak z szablą
w ręku, na czele moich Szkotów. Czulem też to dobrze,
kiedyś przedsiębrał moją wyprawę, a szczęście, które lubi
młodość zuchwała, służyło mi, pókim mu ufał. Wylądowałem
na brzegi Szkocyi z siedmioma ludźmi i porwałem za sobą
cały naród Szkoeki, biłem Anglików gdziekolwiek mi drogę
zastąpili. Chciałem iść na Londyn. Tam mnie prowadziła moja
gwiazda. Niestety! moi mądrzy jenerałowie zawyrokowali, że
to byłoby szaleństwem i nalegali na mnie w imię ojca mo-
jego, ażebym wrócił w góry Szkoeki. Nakazałem odwrót
i to mnie zgubiło. Zaczawszy się cofać, już i w górach za-
trzymać się nie mogłem. Anglicy pędzili mnie jak dzikie
zwierzę obsaczając do koła i trzeba było ciągle i ciągle się
cofać, aż nakoniec moje biedne wojsko, do połowy zmniej-
szone, strudzone, zgłodniałe, obdarte i otoczone ze wszech
stron, zginęło na krwawém polu pod Culloden jak w otchłani.
A ja nieszczęsny! ocalenie moje winienem tylko szybkości
mojego konia. Oeh! czemuż nie poległem na tém błoniu fa-
talném! (*uderza pięścią w stół*). Tam Karolu Edwardzie trzeba
ci było zginąć a nie uciekać z życiem, ażeby go wlec wśród
ciągłych zawodów, zgryzot, upokorzeń! Oeh! Przekleństwo
mi, żem przeżył tę klęskę!... Przekleństwo! (*chwytając flaszkę,
nalewa i pije*).

MAC GREGOR (*wstając żywo z krzesła*).

Ach, już też książę do rozpaczki mnie przyprowadzasz!
Jakem doktor Oksfordzki, ani wiem już, co począć?! (*chodzi
wielkimi krokami — gestykulując*).

KS. KAROL.

No! basta! to był ostatni kielich. Dosyć tych wspomnień!... Hu! (*dmucha*) gorąco mi!... (*podnosi się, idzie chwiejnym krokiem ku doktorowi, ten go chce podtrzymać*). Dajże mi pokój... alboż ja nie idę prosto? (*potyka się*). Bo to widzisz stary, pamięć jest jak książka, którą można otwierać i zamykać do woli... Dziwna to rzecz!... Ty który jesteś uczonym człowiekiem... doktorem oksfordzkim... wytłumaczże mi, co to pamięć! (*patrzy się na niego i parska ze śmiechu*) Doktor oksfordzki — gdybyś téż kiedy włożył swoją białą kudłatą perukę, zabawniebyś wyglądał — (*śmieje się, ha, ha*). Ale co to ja chciałem powiedzieć, Dalibóg — już nie pamiętam — oczy mi się lepia, nie trzymam się na nogach Zasypiam. (*Doktor prowadzi chwiejącego się księcia do fotelu, na który on upada*).

MAC GREGOR.

Biedny człowiek. Dalibóg na płacz mi się zbiera, gdy go widzę w takim stanie. Cóż to za upadek dla potomka królów i który sam zdobył sobie tyle sławy w młodości... Prawią teraz wiele o równości między ludźmi... Otóż... Ażeby bohatera lub wielkiego poetę, artystę... nawet doktora filozofii... równym uczynić z lada szewcem — czegoż potrzeba? (*zażywa*) kwatěrki gorzałki! (*karđynał d'Jork wchodzi*) Ach! Jego Eminencya!

SCENA V.

KS. KAROL — MAC GREGOR i KARDYNAŁ D'JORK.

KARDYNAŁ (*zbliza się do Mac Gregora, podając mu rękę i patrząc na ks. Karola*).

Śpi?

MAC GREGOR.

Tak Wasza Eminencyo! — A sen dała mu ta flasza. (*wskazuje wódkę*).

KARDYNAŁ.

Cóż to za nieszczęście!.. I nie widzisz środka doktora, ażeby go wyleczyć z tego zgubnego nałogu?

MAC GREGOR.

Nie widzę Eminencyo! Wszystkie moje zachody, przełożenia, prośby, do niczego nie prowadzą. (*zażywa*) Trzebaby chyba jakiej wewnętrznej w nim rewolucyi, ażeby przygłuszyć wspomnienia, które go gryzą i przywrócić równowagę w jego mózgowo-nerwowym ustroju, ale to jest poza òbrębem mojej sztuki.

KARDYNAŁ.

Zdaje się, że Opatrzność najwyższa zsyła mu w sam czas środek, który skutek taki sprowadzić może.

MAC GREGOR.

Jakiż to środek?

KARDYNAŁ.

Zsyła mu córkę jego, Karolinę.

MAC GREGOR.

Karolina tu przybędzie?

KARDYNAŁ.

Już tu jest. (*pół głosem*) W innych okolicznościach nie radbym był, ażeby na jaw wystawiał grzechy swojej młodości.

MAC GREGOR (*zażywa*).

Ech! Czyż to był tak wielki grzech Eminencyo? Klementyna Walkenshaw była dalibóg zacna dziewczyna, która go tkliwie kochała.

KARDYNAŁ (*pół głosem*).

Nie przeczę temu. Ale Kościół św. nie pobłogosławił tego związku, a mając prawą żonę, nie mógł on bez zgor-

szenia drugich trzymać córki naturalnej w swoim domu, zresztą hrabina d'Albany nie byłaby na to dawniej przystała; ale dziś on już stary i hrabina zrozumie zapewne, że dziewczyna ta nie uczyni jój ujmy a może wywrzeć wpływ zbawienny na ojca, bo Karolina zdaje się uczciwie wychowana, bardzo rozsądna i z mężném sercem; ma niewątpliwie krew Stuartów w swoich żyłach. Przybyła do Florencyi z ważnemi wiadomościami ze Szkocyi.

MAC GREGOR (*zażywa*).

Karolka! Pamiętam ją malém dzieckiem. A kiedyż tu przybędzie.

KARDYNAŁ.

Jest t1 już. Czeka w przysionku, ażebym przygotował jój wejście.

MAC GREGOR.

Jakże on będzie szczęśliwy, gdy przycisnie do serca tę Karolcię, którą codzień wspomina z takim utęsknieniem! I dziś jeszcze o niej mówił, ale poczynal już myśleć, że umarła, nie mając od bardzo dawna żadnej od niej wiadomości.

KS. KAROL (*otwierając na wpół oczy*).

Karolcia?... Któż tu mówił o Karolci? (*sposstrzega kardynała*) Ach, jesteś tu mój bracie! (*na wpół zaspany podaje mu rękę*) Więc moja Karolcia już nie żyje?

KARDYNAŁ.

I owszem mój bracie, żyje!

KS. KAROL.

Dzięki Bogu!... dzięki Bogu! (*zasypia*).

KARDYNAŁ.

Otóż znowu zasnął... Nie mogę jednak téj młodéj dziewczyny przetrzymywać w przysionku do jutra... (*idzie do drzwi w głębi, otwiera i woła*) Lady Karolino!

SCENA VI.

CIŻ — KAROLINA.

KARDYNAŁ (*bierze za rękę Karolinę i prowadzi ją do ojca*).

Moje biedne dziecko, patrz w jakim to stanie znajdujesz twego ojca, prawego króla Anglii i Szkocji... Widzisz, śpi jak kamień, a tu na wpół wypróżniona flaszka wódki.

KAROLINA.

O mój Boże! (*zasłania twarz rękami, po chwili ociera oczy i tonem mężnym do kardynała*) To lew drzemiący, lecz ja go rozbudzę! (*klęka u nóg ojca*).

KS. KAROL (*budząc się*).

Jakaś dama, tu u nóg moich!... Któż pani jesteś?

KAROLINA.

Najjaśniejszy panie, królu mój! patrz na mnie, może rysy mojej twarzy powiedzą ci — kto jestem!

KS. KAROL (*patrząc na nią uważnie*).

Ach!... te oczy... te usta!... i wszystkie te rysy twarzy... mój Boże!... to żywy obraz... O nie! to być nie może... Wybacz pani, ja myłę się!...

KAROLINA.

Nie mylisz się mój ojeze!

KS. KAROL.

Karolina!

KAROLINA.

Tak!

KS. KAROL (*otwiera objęcia, ona się rzuca w nie i zostaje tak kilka chwil*).

Karolino! Karolino! Jakimże sposobem stało się, że

cię tu widzę? Och, teraz już cię nie puszcę! Zostaniesz na zawsze przy mnie!

KAROLINA.

Zostanę mój ojeze! (*wyciąga z wolna ręce swoje z jego ręk, bierze flaszkę i idzie ku drzwiom w głąbi*).

KS. KAROL (*zdziwiony*).

Co ty robisz Karolino?... (*Karolina otwiera drzwi i rzuca flaszkę w ogród za przysionkiem, słysząc brzęk*) Ha! Dobrześ uczyniła moje dziecko! (*Karolina wraca do niego*) To trucizna, ale widzisz, była to jedyna moja ucieczka przed zgryzotami. Teraz takiej ucieczki już nie potrzebuję — bo jestem szczęśliwym. Siadaj — przy mnie!... (*Karolina przystawia sobie krzesło*) bliżej... tu przy mnie... tak... niech ci się napatrze!... Więc ty jesteś rzeczywiście przy mnie i na zawsze!... Powtórz mi to!

KAROLINA.

O, mój ojeze — jestem przy tobie do śmierci. Żadna moc ludzka nie oderwie mnie już od ciebie... jeżeli sam nie oddalisz mnie.

KS. KAROL.

Wielki Boże! dzięki ci składam! Jest-to pierwsza chwila szczęścia po tylu latach udręczeń.

MAC GREGOR (*pół głosem do kardynała*).

Prawdziwie żywy to obraz swojej matki i kto wie, czy ten młody buziaczek (*zażywa*) więcej z nim nie wskóra, niż cała moja nauka i powaga oksfordzkiego doktora (*odchodzą obadwaj na stronę i rozmawiają cicho*).

KS. KAROL.

Moja Karolciu! ciągle mi się zdaje... że to sen... Jednak nie... nie sen... to rzeczywistość! Bóg cię zesłał na pociechę mojej starości. Przypominasz też sobie dziewczko.. ach! przepraszam, jesteś teraz już dorosłą panną. —

przypominasz sobie jakieś skakała na moich kolanach, śmiejąc się rozkosznie swoim srebrnym głosikiem! — A matka twoja patrzyła na nas rozrzewniona, szczęśliwa... Był to nasz wspólny anioł!... i już go niema między nami!

KAROLINA.

Bóg ją powołał do siebie mój ojcze! Ale on jest miłośny i wspomniął na ciebie, na niezasłużone krzywdy, które ponosisz, na opuszczenie i zmartwienia, w których życie pędzisz i łaską swoją najwyższą otwiera ci drogę do tronu.

KS. KAROL.

Jakto? co chcesz powiedzieć moje dziecię?
(*Kardynał i doktor zbliżają się.*)

KAROLINA.

Tak mój ojcze; dom hanowerski popadł w pogardę, sprowadził zepsucie i nieład w Anglii, stracił Amerykę, i nie po nim dobrego wróżyć sobie nie można, bo Grzegorz III ma napady szaleństwa, a księżę Wallii jest zbiorem wszystkich wad ludzkich. Dlatego też rodziny wierne Stuartom zaczynają się na nowo skupiać i stronnictwo ich ciągle wzrasta. Wszystkie serca uczciwe, w których się przechowała czysta miłość ojezyzny, jój podań, jój sławy, przystępują do niego, a w górach Szkocyi drogę imię twoje stało się na nowo wspólnym hasłem dla wszystkich klanów.

KS. KAROL (*lekko zakłopotany*).

Więc jeszcze nie zapomniano o mnie w Szkocyi?

KAROLINA.

O nie mój ojcze! Starzy opowiadają młodym twoje czyny bohaterskie, a ballady i pibroki, które je sławią, są dziś jedynymi pieśniami, jakie dziewczęta nasze śpiewają przy ognisku domowym. Wkrótce chorągiew twoja powiewać będzie na wszystkich wieżycach naszych kościołów.

KS. KAROL (*mocniej zmięszany*).

Jakto?

KAROLINA.

Tak jest mój ojciec! Jeżeli tak niespodzianie przybyła rzucić się do nóg twoich, to dlatego, ażeby ci to pierwsza oznajmić. Poprzedziłam tylko kilkoma dniami deputację, która tu przybędzie z solemm w tej mierze oświadczeniem, a w gronie której znajdziesz znajome ci imiona, nawet i osoby, jak margrabiego Tulibardin!...

KS. KAROL.

Ach, stary Tulibardin! Mój dawny towarzysz broni! —

KAROLINA.

Młodego hrabię Dumbar, syna przewodnika twojej młodości!

KS. KAROL.

Edward! młodszy syn Lorda Murray!

KAROLINA.

I kilku innych panów ze szkockiej szlachty. Mają oni u stóp twoich złożyć hołdy Szkocyi i prosić cię, ażebyś stanął na czele twoich wiernych!

KS. KAROL.

Ażebym stanął na ich czele?

KAROLINA.

Tak królu mój i panie, trzeba ażebyś raz jeszcze dobył szabli wslawionej pod Kliftonem, Prestonem, Falkirkiem... Culloden...

KS. KAROL.

Ale ręka moja będzie-że w stanie nią władać? — Nie moje dziecię, już zapóźno! — jestem za stary, sił mi nie

staje... zresztą nie mam następcy, a wartoż dobijać się o koronę na te lat parę, które mi pozostają do życia?

KAROLINA.

Mój ojciec, książę Kardynał może być zwolnionym od ślubów kapłańskich przez Ojca św. — i w nim rozzieleni się szczep Stuartów...

KS. KAROL (*zwracając się do brata*).

Czy w rzeczy samój mój bracie mogłoby to nastąpić?

KARDYNAŁ.

Były przykłady podobne, ale nie myśl o mnie. —

KS. KAROL.

Hm... gdyby przed kilku laty nadarzyła się była taka sposobność, możebym się długo nie namyślał... ale dziś... jestem już do niczego i nie więcej nie pragnę, jak umrzeć w spokoju! —

KAROLINA.

Pragniesz umrzeć w spokoju mój ojciec, kiedy ojczyzna cię wzywa, kiedy bije godzina odwetu za Culloden, kiedy Opatrzność podaje ci rękę do podniesienia twojej dynastji, zrzuconej z tronu przez bunt zbrodniczy! (*Kłęk przed nim*). O królu mój i panie! Przodkowie twoi wstrzęsliby się w grobach, gdyby usłyszeli twoje słowa! O nie! nie! bohater Prestonu nie powinien umrzeć inaczej, jak na tronie lub na polu bitwy.

KS. KAROL (*podnosząc się z żywością*).

Zawstydzasz mnie Karolino!... (*chodząc — do siebie*). Iść do Szkocyi... w moim wieku... po wszystkiem co przecierpiałem... to byłoby szaleństwem!... Hm... jednak byli starsi odemnie, co wojowali i zwyciężali... a i ja nie jestem przecież jeszcze niedołężnym! . . (*czyni poruszenia rękami i nogami dla spróbowania sił mskularnych*). Ech! do stu kaduków! nogi i ręce mogą mi jeszcze służyć! Gdybym dosiadł gór-

skiego konika żwawego a z bezpiecznemi nogami, to dalibóg nie żlebym się na nim trzymał, a niech odetchnę szkockiém powietrzem, niech posłyszę te pieśni, ballady i pibroki, co rozogniały moją młodość... to zaręczam że odmłodnieję i siły moje się podwoją .. A zresztą, czyż nie lepiej wystawić raz jeszcze życie na grę bitew, niżeli powolnie konając, skończyć nędznie moją dynastję, nierzuciwszy nawet, jak gasnąca pochodnia, choć jednego jeszcze... ostatniego blasku!... Bah! Niema się czego dłużej wahać! — *(zbliża się do Karoliny, podając jęj rękę)*. Daj mi rękę dzielna dziewczeczko! Dobry duch Stuartów przemówił przez twoje usta. Tak, masz słusność! stary ojciec twój nie powinien umrzeć inaczej jak na tronie lub na polu bitwy!...

(Karolina rzuca mu się w objęcia. — Kardynał ściska mu rękę).

MAC GREGOR *(na stronie)*.

Oto kryzys! *(zażywa)*. Zobaczymy skutek; byłby to ważny fakt patologiczny.

KS. KAROL.

Rozczulacie mnie... ot płaczę!... jak dziecko... ale mniejsza o to... są to łzy, co ulgę sercu przynoszą... Niech przyjdą teraz moi wierni Szkoci... a będą zadowoleni ze mnie *(idzie ku drzwiom na prawo i woła)*. Ludwiko! Hrabio Alfieri! chodźcie tutaj!

SCENA VII.

CIŻ — HRABINA — ALFIERI.

KS. KAROL *(biorąc za rękę Karolinę)*.

Hrabino d'Albany, przedstawiam ci Karolinę Walkenshaw. Nie tajno ci, czem ona jest dla mnie.

HRABINA *(ze zdziwieniem, kłaniając się zimno)*.

A... to panna Karolina!

KS. KAROL.

Przybyła zwrócić mnie na drogę moich lat młodych i wkrótce pospieszymy oboje w góry szkoockie.

HRABINA (*z ironicznym uśmiechem*).

A to po co?

KS. KAROL.

Po to, żeby z orężem w rękę raz ostatni upomnieć się o moje prawa.

(*Bierze Karolinę na stronę i rozmawia z nią cicho*).

HRABINA (*z lekkim uśmiechem do Alfierogo*).

Cóż to za nowy wybryk!

KARDYNAŁ (*zbliżając się do hrabiny, półgłosem*).

Pani hrabino, mam nadzieję, że postanowienie szlacheckie jej męża znajdzie odgłos w jej sercu. Jeżeli komu bowiem, to nie pani przystoi odwozić go od niego.

HRABINA.

Eminencyo! Ks. Karol jest panem swojej woli. Mój wpływ na niego był zawsze nader słaby, a teraz zejdzie do niczego wobec tej panny, która, jak widzę, potrafiła go w jednej chwili przeistoczyć.

KARDYNAŁ.

Czyżby obecność jej tutaj była pani hrabinie niemiłą?

HRABINA.

Bynajmniej. Czy ona jest tu, czy jej niema — to mi jedno, byleby wszakże nie chciała przybierać roli pani w tym domu, gdyż w takim razie ustąpiłabym jej miejsca zupełnie.

KARDYNAŁ.

Mam przekonanie, że jak pani lepiej ją poznasz, to ją przychylniej osądzisz. — (*Lokaj wchodzi*).

LOKAJ (*do ks. Karola*).

Podesta florencki prosi Waszój Książęcój Mości o chwilę posłuchania.

KS. KAROL (*do siebie*).

Czegóż on chce odemnie?

HRABINA (*do Alfierego*).

Mam jakieś złe przeczucie...

KS. KAROL (*do lokaja*).

Niech wejdzie. (*Siada w swoim fotelu*).

SCENA VIII.

CIŻ — PODESTA.

PODESTA (*po niskim ukłonie — do księcia Karola*).

Mości Książę, mam nader przykre zlecenie do spełnienia.

KS. KAROL.

Cóż takiego?

PODESTA.

Waszój Książęcój Mości wiadomo zapewne, że w Szkocyi objawiają się pewne dążenia, zagrażające panującej dynastyi, a do których za pozór służy imię Waszój Książęcój Mości.

KS. KAROL.

A gdyby i tak było, cóż to obchodzi władze florenckie?

PODESTA.

Rząd angielski zaniepokoił się tém i zażądał od rządu wielkoksiążęcego w wyrazach stanowczych wydalenia WKsięcia Mości z granic Toskanii, a rząd nasz widzi się z wielkim

żalem w konieczności zadosyćuczynienia temu żądaniu przyjacielskiego mocarstwa.

KS. KAROL.

A więc rząd wasz na jedno skinienie Anglii, po kilkunastu latach pobytu mego we Florencyi, wypędza mnie z tego miasta i z Księstwa całego?

PODESTA.

Mości Książę, rząd nasz uprasza uprzejmie Waszą Książęcą Mość, ażebyś sam raczył się wydalić, aby nie ściągnąć na kraj nasz wielkich nieprzyjemności i niech W. Ks. Mość zechce wierzyć...

KS. KAROL (*powstając z fotelu i przerywając mu*).

Dosyć! idź i powiedz swojemu panu, że Karol Edward Stuart, z prawa dziedzicznego król Anglii i Szkocyi, wyzuty z korony, pozbawiony ojczyzny i od lat kilkunastu gość w jego państwie, nie pozostanie w niem dnia jednego dłużej. Zostawia mu tylko to piętno na czole, że wobec zuchwałych wymagań obcego dworu, nie umiał ani świętych praw gościnności, ani honoru swojego domu utrzymać.

PODESTA.

Ależ Mości Książę, niech się Wasza Książęcą Mość nie gniewa...

HRABINA (*do Alfierego półgłosem*).

Na jakież to pyszny ton teraz przemawia... to ta panna tak go nastroiła...

KS. KAROL (*wskazując drzwi*).

Idź waćpan i powtórz, komu należy, com powiedział. —
(*Podesta odchodzi*).

SCENA IX.

CIŻ bez PODESTY.

(Księżę Karol podnosi się z fotelu, wszyscy około niego się gromadzą).

KAROLINA (całując go w rękę).

Wielki Księżę Toskanii dostał na co zasłużył!

(Kardynał ściska rękę księcia).

KS. KAROL.

Ale gdzie się teraz podziejemy?

MAC GREGOR (zażywając).

We wszystkich innych miastach włoskich byłoby powtórzenie tej samej sceny tylko na różne tony.

KARDYNAŁ.

Nie będzie tak w Rzymie. Tam Ojciec św. przytuli cię jak syna, mój bracie, a Rzym jest dla nas podwójnie świętym, bo wszakże w bazylice Św. Piotra, pod opieką ŚŚ. Apostołów, spoczywają nasi drodzy rodzice.

ALFIERI.

Mości Księżę, mam pałac w Rzymie i byłbym szczęśliwym, gdyby Wasza Królewiczowska Mość raczyła w nim przyjąć gościnność...

KS. KAROL (cicho do brata).

Co mówisz na to bracie?

MAC GREGOR (zażywając — na stronie).

Propozycja prawdziwie komiczna... i dlatego właśnie gotów ją przyjąć...

KARDYNAŁ (do brata).

W jego pałacu będziesz swobodniejszym i mniej na oku szpiegom angielskim, niż u mnie.

KAROLINA (*z drugiej strony cicho do ojca*).

On ofiaruje ci gościnność mój ojciec, tak uprzejmie i serdecznie!

KS. KAROL (*po chwili namysłu — na stronie*).

No! widzę, że podejrzenia moje były bezzasadne i niegodne... (*podając rękę Alfieremu*) Mości hrabio, przyjmuję waszą gościnność chętnie i z ufnym sercem, w przekonaniu, że mi ją w podobny sposób ofiarujecie... (*do żony, Karoliny i Mac Gregora*). A teraz moi drodzy, otrząśnijmy pył z nóg naszych podług słów Ewangelii i... dalej w drogę!...

KONIEC AKTU PIERWSZEGO.

AKT DRUGI.



(Pieczara w podziemiach kościoła Św. Piotra w Rzymie, zwanych Grote Vecchie. Dwa rzędy słupów podpierają sklepienie, między słupami i wzdłuż ścian bocznych trzy rzędy sarkofagów, między niemi po lewój stronie sarkofagi, w których spoczywają: Jakób Stuart pretendent i żona jego Klementyna z Sobieskich. W głębi ołtarz i kurytarz. Wiszące kagańce oświetlają pieczarę).

SCENA I.

KAROLINA — MAC GREGOR i KANONIK WATYKAŃSKI.

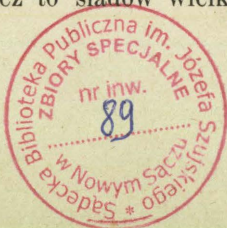
(Wchodzą z głębi sceny).

KANONIK *(wskazując dwa sarkofagi na lewo).*

Oto są trumny, w których spoczywają: książę Jakób Stuart i żona jego Klementyna z domu królewna Sobieska. —
(Idzie do sarkofagów, odmawia krótką modlitwę i odchodzi).

KAROLINA.

Mój Boże! wobec tych nagromadzonych trumien jakże błędnie wszystko co wydaje się tak świetnym na ziemi. —
W téj jednéj pieczarze ileż to śladów wielkich istnień zaga-



słych — pokoleń w proch rozsypanych — wieków ubiegłych jak fale rzeki. —

MAC GREGOR.

Radbym też wiedzieć dlaczego nasi książęta wybrali to miejsce, wcale nie wesołe, na schadzkę z panami szkockimi przybyłymi do Rzymu.

KAROLINA.

Och doktorze! czyż nie czujesz, że wobec tych trumien nieszczęsnych Stuartów, rodziców naszych książąt, serca szkockie silniej biją niż w złoconych komnatach cudzoziemskiego pana, u którego książę Karol gościem.

MAC GREGOR.

Zapewne... Zapewne... (*zażywa*) ale to nie dowodzi, aby to miejsce było bardzo dogodnym na zgromadzenia (*ogląda się do koła*). Niema nawet na czem usiąść.

KAROLINA.

Idźmy naprzeciw naszych Szkotów, bo inaczej może nie trafią na to miejsce (*daje mu rękę pod ramię*). Ach widzę hrabiego Dunbara, który się tu zbliża. —

MAC GREGOR.

A... to młody hrabia Dunbar!... Ale Milady, dlaczegoż to ręka twoja drży?... i zkad ten nagły rumieniec na licach.—

KAROLINA.

Jesteś ciekawy Doktorze! Więc powiem ci szczerze, że Hrabia Dunbar razem prawie ze mną wychowany jest moim narzeczonym. Matka moja zaręczyła nas na swoim łożu śmierci.

MAC GREGOR.

Teraz rozumiem... i naturalnie koehacie się wzajemnie (*zażywa*). Szczęśliwy śmiertelnik ten Dunbar.

SCENA II.

CIŻ — DUNBAR.

KAROLINA (*podając mu rękę*).

Witam Milorda, jak prawego rycerza, który święcie dotrzymać umie danego słowa.

DUNBAR.

Niema w tém żadnej zasługi Lady Karolino. Przybywając tu z najwierniejszymi przedstawicielami Szkocyi, ażeby powołać na tron ojców prawowitego naszego króla, dopełniam obowiązku, przekazanego mi przez ojca i wrytego w moją duszę. — Niemniej jednak mile mi jest jój podziękowanie.

KAROLINA.

A gdzież są towarzysze Milorda?

DUNBAR.

Przybędą tu za chwilę. — Zostawiłem ich w Bazylice (*zcicha*), ażeby pierwszy ciebie powitać Lady Karolino.

KAROLINA.

Doktor Mac Gregor (*przedstawia go Dunbarowi*) i ja wyprzedziliśmy także naszych książąt, ażeby przyjąć panów w tych pieczarach przy grobach księcia Jakóba i jego żony, gdzie książęta naznaczyli wam miejsce zebrania się. Idźmy pomodlić się przy nich. —

(*Zbliżają się oboje do pomienionych sarkofagów. Przyklękają i modlą się cicho*).

MAC GREGOR (*zażywa — do siebie*).

Sądzę... że grzecznie będzie z mojej strony zostawić tę parkę na chwilę samą. — Pomodlą się a potem, zapewne,

zechcą szepnąć sobie parę słówek czułych... (*Ogląda się wokoło*).
Wprawdzie miejsce niezupełnie po temu, ale nieboszczykowie
śpią twardo i miłosne szepty ich nie obudzą. — Usunmy się
na stronę cicho i niepostrzeżenie — (*odchodzi dyskretnie w głąb
i kryje się za sarkofagami. Karolina i Dunbar powstają*).

DUNBAR.

Teraz pomówmy trochę Karolino. Pierwszy raz po tak
długim rozłączeniu spotykamy się w tej pieczarze.

KAROLINA.

Ale tu wśród tych grobów Edwardzie serca nasze mił-
ceć powinny. — Tu śmierć włada i zimnem duszę przejmuje.

DUNBAR.

Gdzież więc pomówić będę mógł z tobą szczerze i ser-
decznie po dawnemu.

KAROLINA.

Jak wyjdziemy ztąd, przyjdź do ogrodu pałacu Alfierych,
tam mnie zastaniesz i pomówimy... o ojcu moim przede-
wszystkiem.

MAC GREGOR (*wychodząc z głębi, półgłosem*).

Książęta nadchodzą.

SCENA III.

KAROLINA, — DUNBAR — MAC GREGOR — KS. KAROL
I KARDYNAŁ D'JORK.

MAC GREGOR (*do Karoliny*).

Patrz pani, jak chwiejnym krokiem postępuje nasz
książę podpierając się na ramieniu kardynała. Ot, zatrzymuje
się, jak gdyby nie miał sił iść dalej.

KARDYNAŁ (*rzucając bystre wejrzenie na Karolinę i Dunbara, do siebie*).

Któż to jest ten młodzieniec z Karoliną?

KS. KAROL (*do kardynała*).

Bracie... nie śmiem się zbliżyć do tych grobów... Powiedz mi! jest-że to pewnem, że rodzice nasi spoczywają tam snem wiecznym i że ich nic nie zbudzi?... bo nie mogę oddalić od siebie téj myśli, że oni są tu niewidzialni i patrzą na mnie z gniewem. Czuję ich obecność. Och! weź mnie pod twoją opiekę i błagaj ich za mną.

KAROLINA (*pada na kolana*).

Mój Boże... nieszczęśliwy mój ojciec.

KARDYNAŁ.

Chodź bracie — wzruszenie twoje jest zbawienne lecz nie bój się niczego. Na tamtym świecie Bóg jeden rządzi a miłosierdzie jego jest nieskończone (*ciągnie go za sobą aż do sarkofagu Jakóba Stuarta, przed którym obaj przyklękają*).

KS. KAROL (*klęcząc*).

Boże wszechmocny, jakże głęboko pozwoliłeś mi upaść... i dziś może stałem się niegodnym Twojej łaski św. — Przystałem szanować imię, które noszę (*uderza czołem o marmur sarkofagu... potem podnosi głowę*). Ależ Panie najwyższy, ja walczyłem długo i upornie i dopiero opuszczony przez Ciebie, opuszczony od ludzi, opuściłem sam siebie. Pozwól mi podnieść się jeszcze przed zgonem, pozwól, o Panie! Książę Jakubie, ojeze mój, ty, który z łona wieczności patrzysz na mnie klęczącego przy twoim grobie, synu królewski! nieszczęściem nigdy niezłamany... przebac mi!... Matko moja! święta niewiasto! któraś mnie wychowała na bohatera... przebac mi!... Przebaczcie mi przodkowie moi!... bo chcę jeszcze walczyć i umrzeć jak król.

(*Pochyla głowę w milczeniu*).

KARDYNAŁ (*kłęcząc*).

Ojczy niebieski! królu królów! Przed Tobą korzą się w prochu dwaj ostatni Stuartowie!... O Panie! rodzina nasza służyła Ci wiernie na tronie i nie przestała Cię wielbić na wygnaniu!... Nie odpychaj jój już więcej od siebie!... Wróc jój ojczyznę i tę koronę, którą jój dałeś w dniach łaski... a jedyném jój celem będzie nawrócić do twego św. kościoła podwładne jój ludy!... A wy duchy dziada, pradziada naszego, którzyście pozyskali wieńce niebieskie, zasłużone łzami wypłakanymi w tułactwie lub śmiercią niewinną na rusztowaniu... wstawcie się! wstawcie się za nami!... W imię Ojca, Syna i Ducha świętego. Amen.

(Obaj powstają i rzucają się w objęcia jeden drugiego).

KARDYNAŁ.

Mój bracie! miejmy dobrą otuchę!... Bóg rzucił na nas wejrzenie miłosierne i już nas nie opuści...

MAC GREGOR (*zażywa*).

Powinni Pana Boga prosić, żeby im dał armat i karabinów poddostatkiem; inaczéj podobno nie zaśpiewają *Te Deum*.

(Karolina, za nią Dunbar zbliżają się do książąt).

SCENA IV.

CIZ.

(Lord Tulibardin i inni panowie szkoccy przyprowadzeni przez kanonika Watykańskiego, który wnet odchodzi).

KS. KAROL (*idzie naprzeciw Szkotom i podaje im obie ręce*).

Pozdrawiam was moi drodzy przyjaciele!... Zaszczytnie to dla was, żeście przeehowali wierność dla osiwiąłego w tułactwie wnuka waszych prawych królów...

KAROLINA (*półgłosem, wskazując na Dunbara*).

Ojczy... to syn twój chrzestny — hrabia Dunbar, syn Lorda Murray.

KARDYNAŁ *(na stronie)*.

A więc to syn Murray'a.

KS KAROL.

Edwardzie! chodź w moje objęcia mój synu! Ojciec twój przewodniczył mojej młodości, kształcił serce i umysł mój... teraz na mnie kolój być drugim ojcem dla ciebie!

DUNBAR *(klękając na jedno kolano)*.

Najjaśniejszy panie! królu mój miłościwy!... Moja szpada i moje życie są na usługi Waszjej królewskiej Mości!
(Ks. Karol podnosi go i ściska).

KAROLINA *(półgłosem do ojca, wskazując Tulibardina)*.

Margrabia Tulibardin.

KS. KAROL *(podając mu rękę)*.

Ach! to ty margrabio Tulibardinie! stary towarzyszu broni!... Zeszliśmy się więc jeszcze na tej ziemi... obaj osiwiali, lecz obaj odmłodniemy jeszcze w nowych bitwach, jak zardzewiałe żelazo w ogniu!

TULIBARDIN *(przyklęka na jedno kolano)*.

Najjaśniejszy panie! i królu nasz miłościwy!... racz przyjąć hołdy nasze i te, które ci składamy w imieniu wiernej ci Szkocyi.

WSZYSCY SZKOCI *(razem, przyklękając na jedno kolano)*.

Najjaśniejszy panie, racz przyjąć hołdy nasze i hołdy wiernej ci Szkocyi! *(wszyscy zostają na kolanach)*.

KS. KAROL *(staje przy sarkofagu Jakóba Stuarta)*.

Dziękuję wam przyjaciele za te oświadczenia wierności, które mi przynosicie z rodzinną naszą ziemi!... Przyjmuję je przy grobach mojego nieszczęśliwego ojca i mojej matki, aby duchy ich uradowały się widokiem nierozzerwanej jedności między Szkocyą i rodziną Stuartów!... Stuarci wyrosli z ziemi

szkockiej... w żyłach ich płynie krew szkockiego narodu... żyli wielkością, sławą, pomyślnością Szkocyi i Anglii, które Bóg pod ich berłem połączył; to była ich podwójna ojezyzna... i pod mieczem katowskim... w więzieniu... w tułactwie... nie przestali jej kochać i błogosławić!... Dziś ja, przygnieciony nieszczęściem i latami... na głos mojej drogiej Szkocyi, czuję nowe życie wstępujące we mnie i na dany znak, że godzina walki wybiła, stanę na waszym czele, to wam przysięgam przy tych grobach!... Będzie to walka ostatnia i albo wypędzimy tę obcą, nienawistną dynastję, albo ród Stuartów, wylawszy ostatek krwi swojej na ziemi ojców, zagaśnie na zawsze!

PANOWIE SZKOCCY (*na kolanach chórem, na nutę
God save the king*).

Ród drogi Boże zbaw!
Stuartów Panie zbaw!
Zbaw nam ich! zbaw!
Nieszczęsny los ich złam!
Bo Tyś ich wybrał sam,
By królowali nam.
Zbaw nam ich, zbaw!

Przybylców zgubny dom,
Ręką Twą Panie zgrom!
Skończ raz nasz srom!
Przywołaj z obcych stron,
Szkocki błaga cię lud,
Stuartów mężny ród
I wróć mu tron!

KS. KAROL (*głosem osłabłym*).

Dziękuję wam... stokrotnie dziękuje (*półgłosem do stojącego przy nim kardynała, chwytając go za rękę*). Bracie, cały szereg nieszczęśliwych ofiar z naszego rodu przesuwa się przed moimi oczami. Ach! i jakże smutne rzucają mi wejżenia, królowa Marya, Karol I i Jakób II, ot i ojciec nasz załamuje ręce nademną, a tam, tam ileż to widm! to wszyscy

moi wierni, polegli pod Culloden. Och Henryku! czyż potrafimy złamać przekleństwo Boże ciężące na Stuartach...

KARDYNAŁ.

Bracie, oni wszyscy idą prosić Boga za nami.

(*Ks. Karol chwieje się, opiera się o sarkofag, kardynał go podtrzymuje — Karolina i Mac Gregor przybiegają i podtrzymują go z drugiej strony — ks. Karol mdleje na ich rękach — Szkoci powstają zatrwożeni*).

MAC GREGOR (*półgłosem do Karoliny*).

Moje dziecko — pora bohaterskich czynów przeszła już bezpowrotnie dla niego. Patrz! krew mu uderzyła do głowy. Taki to skutek wywierają na niego silne wzruszenia, a cóż to będzie, gdy przyjdzie mu znosić trudy i znoje wojenne?

KAROLINA (*półgłosem*).

Doktorze, ja strzedz go będę od wzruszeń zbyt silnych i ulżę mu znojów, ale zrzec się on praw swoich nie powinien i nie może aż w grobie!

KARDYNAŁ (*głosem stanowczym*).

A Bóg mu potrzebnych sił doda!

KS. KAROL (*przychodząc do siebie*).

Gdzież ja jestem?... Ach byłem nieprzytomny. — (*Do Szkotów*) Nie zważajcie przyjaciele na tę chwilę zwątlania — jestem stary i odwykły od wzniosłych wzruszeń, ale ufajcie mi. Wszakże ja wiodłem waszych ojców na pole sławy, a serce moje jeszcze bije jak dawniej. Zawiodę i was do zwycięstwa lub śmierci.

SZKOCI (*dobijając szpad*).

Niech żyje Karol III! król Anglii i Szkocyi!

KARDYNAŁ.

Oby Bóg z wysokości nieba pobłogosławił wasze oręża!... jak ja błogosławię je w imieniu Jego świętego kościoła!...

KS. KAROL.

A teraz drodzy przyjaciele pozwólcie mi opuścić was... ale przyjdźcie do mnie wieczorem do pałacu Alfierych, tam pomówimy z sobą otwarcie i wypijemy razem serdecznie za pomyślność Anglii i Szkocyi... a przed świtem, aby nie zwrócić uwagi agentów hanowerskiego domu, wybierzecie się z powrotem do Szkocyi... Do widzenia przyjaciele! (*podaje im ręce do uściśnienia — do Karoliny*) Zostawiam cię moje dziecko pod opieką Mac Gregora (*całuje ją w czoło i odchodzi parę kroków*).

KARDYNAŁ (*półgłosem do Karoliny*).

Karolino czekaj tu na mnie — za chwilę wrócę — (*zbliża się napowrót do ks. Karola i razem wychodzą*).

SCENA V.

KAROLINA — MAC GREGOR — DUNBAR — TULIBARDIN
i inni PANOWIE SZKOCCY.

KAROLINA.

Wszystko dobrze idzie mili panowie! (*kładzie palec na ustach*) Powiem wam w tajemnicy, że będziecie mieli broni poddostatkiem na początek. Ojciec święty dostarcza na to funduszu...

PANOWIE SZKOCCY.

Chwała Bogu!

KAROLINA.

Obiecują nam jeszcze różne zachody, ażeby Ludwika XVI za nami poruszyć.

TULIBARDIN.

Ech!.. nam broni tylko potrzeba; na cudzą pomoc nie liczymy.

SZKOCI.

Liczmy tylko na siebie!

KAROLINA (*ściska rękę Tulibardina*).

Masz słuszność Margrabio, liczmy tylko na siebie i ja pójdę za waszą chorągwią; będę opatrywać rannych, pielęgnować chorych, a w potrzebie, potrafię razem z wami życie położyć.

SZKOCI.

Niech żyje Lady Karolina!

DUNBAR.

Niech żyje Anioł Stuartów.

(Wszyscy Szkoci kłaniają się Karolinie i odchodzą.)

SCENA VI.

KAROLINA — MAC GREGOR.

MAC GREGOR (*podaje ramię Karolinie, która go nie przyjmuje*).

KAROLINA.

Kardynał kazał mi tu czekać na siebie.

MAC GREGOR.

Pewnie zemdleńie księcia Karola go zakłopotalo. O Mi-lady! podjęłaś się ciężkiego zadania — odtworzyć bohatera ze złamanego starca (*zażywa*). Podnosisz go z jednej strony a on upada z drugiej.

KAROLINA.

Jesteś niemilosiernym doktorze. Czyż nie widzisz, że w tém zwątloném cieie, w téj skołatanej duszy, zostało nietknięte wy-sokie uczucie honoru. To uczucie przemogło już zgubne jego nałogi, odżywiło w nim dawne bohaterstwo, — pokrzepi ono i

jego siły fizyczne i będzie jego zbawieniem. Kto się urodził Stuartem ten i umrzeć potrafi jak przystoi na potomka tyłu królów.
(Przy tych ostatnich słowach wchodzi kardynał d'York.)

KARDYNAŁ *(do doktora)*.

Zostaw nas doktorze i zaczekaj w głębi pieczary.
(Doktor odchodzi i kryje się między sarkofagami).

SCENA VII.

KARDYNAŁ — KAROLINA.

KARDYNAŁ.

Słyszałem, Karolino, słowa, któreś tylko co wyrzekła i... dziękuje ci za nie ale na słowach nie dosyć, trzeba czynów, trzeba ofiary a do ofiary jesteście sposobna.

KAROLINA.

Dlaczego mnie Wasza Przewielebność oto pyta?

KARDYNAŁ.

Bo przed godziną, widziałem tu wśród tych grobów oczy twoje wlepione z miłością w młodego hrabię Dunbara, który zapewne głównie za tobą tu przybył.

KAROLINA.

To mój narzeczony.

KARDYNAŁ.

Dla ciebie niema narzeczonego moja córko. Skoroś postanowiła być podporą i natchnieniem twojego ojca, powinnaś być przy nim jak zakonnica przy łożu cierpiącego i czuwać nad nim bezprzestannie z zupełnym zaparciem siebie, bo nie wiesz, wiele to nagromadziło się w jego duszy goryczy, zwątpień i różnych metów ziemskiego życia w ciągu tych smutnych kolei, jakie przebywał.

KAROLINA (*głuchym głosem*).

Och wiem to dobrze!

KARDYNAŁ.

Wiesz to! więc żyj tylko dla niego, wyłącznie dla niego; nie miej jednej myśli któraby cię od niego odrywała, krzep jego odwagę, podnoś jego ducha, oddalaj od niego wszystkie szatańskie pokusy, bądź jedném słowem jego aniołem stróżem, a wtenczas jeżeli nie wyprosisz dla niego od Boga, ażeby mu zwrócił koronę przodków, to przynajmniej utrzymasz go na drodze chrześcijańskiej i doprowadzisz do chrześcijańskiej śmierci (*Karolina zakrywa twarz rękami*). Milczysz Karolino? Cofasz się przed takim poświęceniem? Więc nie jesteś tu potrzebną, — Wiedz, że na rodzie Stuartów cięży klątwa straszliwa, którą odkupić można tylko wielkimi ofiarami, bo Bóg ofiary tylko ceni, — bez nich najgorętsza modlitwa nie trafia do niego — cała nauka Chrystusa jest nauką ofiary. Ach, gdyby w niebie przyjętą była ta, którą uczyniłem przed ołtarzem z mojego życia za winy przodków, przekleństwo byłoby już odwrócone od głowy Karola Edwarda, ale ja sam jestem pod brzemieniem tego przekleństwa... twoje poświęcenie mogłoby jedynie go zbawić.

KAROLINA (*pada na kolana*).

Boże! Panie Wszchemocny, jedno mam w sercu uczucie, które dało mi zakosztować szczęścia na ziemi, z którym się łączą najmilsze moje wspomnienia, najdroższe nadzieje; uczucie, z którym wzrosłam, którym żyłam dotąd — i to uczucie, tę miłość młodą i czystą składam Ci Panie w ofiarze wobec tych grobów nieszczęsnych Stuartów. Odwróć gniew twój od mojego ojca i pozwól mi z nim razem umrzeć.

KARDYNAŁ.

Teraz poznaję krew Stuartów płynącą w twoich żyłach i błogosławię cię moja córko; niech cię Bóg z nieba błogosławi (*Karolina szlocha ciągle klęcząc i zakrywa twarz rękami*); Nie płacz — Bóg który wstrzymał miecz Abrahama, nie dopuści,

żeby ofiara, którą czynisz, zniweczyła całe życie twoje. On w swoich nieodgadnionych wyrokach los twojego ojca niedługo rozstrzygnie — albo go powróci na tron ojców albo go do chwały swojej zabierze — a wtenczas... wolną będziesz od twoich zobowiązań.

KAROLINA (*powstaje i ocierając łzy z oczów*).

Przewielebny kardynale, otworzyłeś mi oczy na wielkość obowiązku, jaki mam do spełnienia, nie zmniejszaj go teraz. Przed chwilą już zjednoczyłam w mojej duszy solennie i na zawsze życie moje z życiem mego ojca. Do niego jednego należę i jedyna nagroda o którą Pana Boga proszę, jest: być z nim i w śmierci złączoną.

KARDYNAŁ.

Poświęcasz szczęście doczesne moje dziecko, a znajdziesz natomiast szczęście wieczne (*zwraca się ku głębi pieczary*). Doktorze... (*doktor przychodzi*). Żegnam cię Karolino, Bóg z tobą (*blagosiawia ją*).

SCENA VIII.

KAROLINA — MAC GREGOR.

MAC GREGOR.

Jakże błąda jesteś Milady. Cóż to zaszło.

KAROLINA (*smutnym głosem*).

Nie pytaj doktorze (*daje mu ramię*) chodźmy.

KONIEC AKTU DRUGIEGO.



AKT TRZECI.



Obraz I.

(Ogród w stylu włoskim, na prawo klomb a przed nim pod posągami, w rodzaju starożytnym, ławka kamienna, w głębi pałac z przedsionkiem półokrągłym z kolumn).

SCENA I.

KAROLINA *(sama na ławce).*

Powiedziałam mu, żeby tu przyszedł. — Mamże go zawieść? zerwać łączące mnie z nim węzły od lat dziecinnych, nie mu nie mówiąc? Och byłoby to okrutnie! Nie, muszę raz jeszcze z nim pomówić szczerze, z zaufaniem, z dawną przyjaźnią i sama odważnie położyć koniec jego nadziejom. — O mój Boże jakaż to bolesna próba! — Lecz ja już nie należę do świata — uczyniłam ślub równie święty jak ślub zakonnicy.

(Dunbar występuje nagle z pomiędzy drzew klombu).

SCENA II.

KAROLINA — DUNBAR.

DUNBAR *(ściskając jej rękę).*

Karolino droga — jesteśmy przecież sami; trzeba mi było przebyć góry i morza, ażeby pochwycić tę chwilę szczęścia.

KAROLINA (*na stronie*)

Och jakże mi serce bije!

DUNBAR (*trzymając rękę Karoliny, która mu ją zostawia i siadając kolo nięj*).

Pozwól mi najprzód napatrzeć ci się do woli. O Karolino życie moje tak jest splecione z twojem od lat najmłodszych — bo wszakże o trzy lata zaledwie starszy jestem od ciebie — że gdy wlepiam oczy w twoje rysy, całe pasmo moich wspomnień rozwija się przed moją myślą. A jakież to uroczne panorama! — Pamiętasz, jak małem będąc chłopięciem, po skończonych godzinach moich nauk, przybiegałem na szkockim kucyku do waszego ładnego ustronia — odległego o pół milki drogi zaledwie od zamku mojego ojca. Tyś czekała zawsze na mnie przed gankiem i dawałaś mi zdaleka znaki radośnie. Resztę dnia spędzaliśmy razem. Przypominasz sobie nasze wieczory nad brzegiem morza, gdy patrzeliśmy na przyływ fal pod okiem twojej matki. Z jakimże zajęciem znaczyliśmy na piasku nadbrzeżnym kres każdego przyływu i z jakimi okrzykami witaliśmy nową falę toczącą się jakby ogromny fałd na powierzchni morza, która znak ten przekroczyć miała.

KAROLINA (*smętnym głosem*).

Pamiętam to dobrze Edwardzie.

DUNBAR.

A pamiętasz nasze przejażdżki na kucykach górskich we dwojgu, z jednym tylko masztalerzem za nami. Biegliśmy cwałem przez wzgórza i doliny; wkoło nas rozpościerał się krajobraz niezrównanej wspaniałości — tu szumiało morze nieskończone, — tam piętrzyły się aż pod niebo góry dzielące Szkocję od Anglii — w pośrodku wysterezały z pomiędzy drzew szczyty kościołów, wieżycy starych zamków i ozdobne domki wiejskie — a my przerzynaliśmy przestrzeń; wiatr rozwiewał twoje jasne, rozpuszczone włosy, lecz mały twój rumak nigdy dosyć szybko dla ciebie nie biegł; popędzałaś go coraz żywiej i ja z powagą starszego wstrzymywać go musiałem

na spadzistych drogach. — Ale cóż to? — twoje oczy pełne łez! — płaczesz Karolino?...

KAROLINA (*ocierając oczy*).

Był to czas prawdziwego szczęścia.

DUNBAR.

Później, gdy już wyszliśmy z lat dziecinnych szukaliśmy rozrywek w tem, co duszę podnosi. — Czytywaliśmy razem naszych wielkich poetów lub najehlubniejsze karty naszych dziejów, a w pięknych letnich wieczorach, na przechadzkach w towarzystwie twojej matki, pamiętasz Karolino jak wyśpiwywaliśmy pełnemi piersiami nasze góralskie ballady i pi-broki. — Dusze nasze jednoczyły się w tem śpiewie, który się rozlegał daleko i odbijał o góry i skały... Och gdyby mi wtenczas — na tym wstępie młodości — powiedziano, że trzeba mi będzie rozstać się kiedyś z tobą, byłbym umarł Karolino, bo już nie pojmowałem życia bez ciebie. Ale cóż ci jest moja najdroższa, tyś zadrżała i zbladła?...

KAROLINA.

Edwardzie, powiadasz, że nie pojmowałeś życia twojego bezemnie, ależ Bóg jeden rozrządza przyszłością a nam godzić się należy z tą, jaką nam daje, jakąkolwiek ona być może.

DUNBAR.

Dlaczegoż to mówisz Karolino. — Wszakże nic nie stoi na zawadzie naszemu małżeństwu. — Ułożyli go rodzice nasi... Twoja matka zaręczyła nas przed zgonem i jeżeli tylko zezwolisz, to zatrzymam się w Rzymie, ażeby cię poprowadzić do ołtarza. — Ojciec św. nas pobłogosławi.

KAROLINA (*tonem bolesnym ale stanowczym*).

To niepodobna. —

DUNBAR.

Jak to niepodobna... Co znaczą te słowa o moja najdroższa?...

KAROLINA.

Posłuchaj mnie Edwardzie. — Nie potrzebuję ci powtarzać, że po Bogu i ojcu byłeś pierwszym w mojem sercu... i jesteś nim, wiesz o tem dobrze — ale między nami stała przegroda nieprzełamana.

DUNBAR.

Przegroda! — to być nie może!.. Nigdy o niej nie mówiłaś — téj przegrody niema.

KAROLINA.

Jest Edwardzie — wysłuchaj mnie do końca. Widziałeś moją matkę długo i powolnie gasnącą — na jój twarzy wybladłej, lecz uroczej aż do zgonu pięknoscia malującą się na niej duszy, przebijał smutek cichy, znoszony z zupełnym poddaniem się woli Bożej, który ją jednak powoli do grobu prowadził. — Często, gdyśmy były tylko we dwie, lzy się cisnęły do jój oczów i powstrzymać ich nie mogła... ja wypijałam je w moich pocałunkach; lecz wtenczas dopiero twarz jój się rozjaśniała gdym jój mówiła o moim ojcu, bo najmilszą jój pociechą było widzieć, iż wszczepiła we mnie cześć prawdziwie religijną dla niego. — Raz, było to już po naszych zaręczynach, w ostatnich dniach jój życia, rozmawiając o nim rozplakałyśmy się obydwie, a matka moja, ulegając wezbraniem w jój sercu uczuciu, kazała mi przysiąc, że jak jój nie będzie, pójdę pod jakimkolwiek pozorem połączyć się z moim ojcem i zostanę przy nim, aby być jego pociechą, jego podporą, jego dobrym duchem, jakim ona była niegdyś. — Przysięgłam jój to wroczyście wobec Boga, którego brałam na świadka, lecz ani jedna, ani druga nie wiedziałyśmy jak ogromne obowiązki zawarte były w téj przysiędze; nie wiedziałyśmy, że ona małżeństwo między nami uczyni niemożliwym.

DUNBAR.

Ależ Karolino, jakiegokolwiek obowiązki mogłaś zaciągnąć względem ojca, nigdy one ciebie odemnie nie oddziela. Wszak-

żeż jestem synem Lorda Murray, jego najlepszego przyjaciela, wychowany w uczuciach tradycyjnych w moim rodzie, przywiązania, wierności, poświęcenia dla dynastyi Stuartów. Karol Edward trzymał mnie do chrztu, jest moim królem i niema ofiary, którejbym dla niego nie uczynił.

KAROLINA.

Edwardzie. Mój ojciec jest przygnębiony wiekiem i przebytymi nieszczęściami, dusza jego potrzebuje mieć podporę w innej duszy zupełnie mu oddanej. Zostawiona samą sobie, niestety! upada. Ja jestem teraz niezbędną obok niego w każdej chwili.. jestem jego natchnieniem.. jego siłą... ciepłem, które odżywia jego istotę i opuścić go nie mogę — przysięgam to matce a dziś przy grobach Stuartów przysięgam to jeszcze kardynałowi d'Jork. —

DUNBAR.

Zostaniesz więc przy ojeu Karolino, póki on cię potrzebować będzie

KAROLINA.

A kiedyż on mnie potrzebować przestanie. W grobie? Ale wiązać nadzieję szczęścia mojego z jego śmiercią byłoby niegodnym — i ażeby taką myśl odsunąć na zawsze od siebie, postanowilam święcie, — jeżeli mnie Bóg razem z nim do siebie nie powoła, o co go rzewnie błagałam, — że skończę życie za kratą klasztorną.

DUNBAR.

Więc całe istnienie moje zburzone!... (*po chwili milczenia*) lecz jeżeli Karol Edward odzyska koronę, wtenczas twoja misya spełniona... przyrzeknijże mi przynajmniej, że jak Karol Edward będzie królem Anglii i Szkocyi, wtenczas zostaniesz moją żoną... Przyrzeknij mi to, Karolino! jeśli nie chcesz mi życia podać w obrzydzenie...

KAROLINA *(na stronie)*.

Kardynał sam mi powiedział, że wtenczas będę zwolnioną od moich zobowiązań. *(Do Dunbara)*. Tak, gdy Karol Edward siądzie na tronie do ciebie należę.

DUNBAR.

A więc korona dla niego lub śmierć dla mnie. Niech i tak będzie. — W dniu przegranej twój narzeczony nie wróci z pola bitwy. Żegnam cię Karolino.

(Karolina daje mu rękę, Dunbar odchodzi).

KAROLINA *(sama)*.

Och! — wiem ja, że się z nim nie złączę aż w niebie.

Obraz II.

(Przysionek w pałacu Alfieri w Rzymie — w głębi półkole kolumn między którymi widać ogród — na lewo kanapa trzcinowa pod niszą z posągami — krzesła trzcinowe).

SCENA I.

HRABINA — ALFIERI.

(Hrabina na kanapie w pół leżąc z wachlarzem w ręku. Alfieri stoi przy kolumnach i patrzy w ogród).

HRABINA.

Ależ powtarzam ci hrabio.... oni tak prędko nie wrócą; siądź spokojnie na swoim miejscu *(Alfieri siada przy niej na kanapie)*. Mówiłeś pan, że Rzym, nie przestając na tém, iż jest miastem wiecznym i stolicą chrześcijaństwa, uważa się jeszcze za miasto stołeczne... kraju czułości. — Z jakiegoż to względu?

ALFIERI.

Ze wszech względów hrabino... Tu miłość miała swoje ołtarze, swoje kapłanki, swoich poetów... kiedy w waszój Germanii, w waszym Albionie, ludy nie znały jój nawet z nazwiska. Upadła potęga Rzymu... upadła wiara starożytna... wszystko się zmieniło w tój pięknej Italii, ale w sercach Włochów miłość zawsze jednakiem pała płomieniem i piękność zawsze jednaka od nich cześć odbiera! Gdziekolwiek pani okiem rzucisz, czyż wszędzie wzrok twój nie natopyka ideałów niewieściej postaci, wykutych z marmuru, wyrobionych z mozaiki lub pędzlem wytworzonych na płótnie na murach świątyni i pałaców. Są to boginie przed którymi korzyła się Italia pogańska; są to święte do których się modli Italia chrześcijańska, lecz zawsze są to kobiety wyniesione z ziemi do nieba.. a poezya na włoskiej ziemi, nie jestże od czasów starożytnych ciągłym hymnem kochanków?

HRABINA.

Nie przeczę. We Włoszech oddają cześć wysoką idealnym kobietom, ale przez to samo kobieta z ciała i krwi musi tu być w dosyć niskiej cenie.

ALFIERI.

Lecz jesteście pani rzeczywiście kobietą z ciała i krwi?... czasami o tём powątpiewam.

HRABINA.

Doprawdy?

ALFIERI.

Niekiedy, klnę się na muzę...

HRABINA (*wachlując się*).

Nie mówmy o tём...

ALFIERI.

Zresztą... gdybym się zgodził na to, że pani masz

ciało i krew, to z tém zastrzeżeniem, że należysz do wyją-
cznego gatunku kobiet, że jesteś dla niegodnego Wiktora
Alfieri, poety upadłego wieku, czém była Beatriceza dla Dan-
te'go, Laura dla Petrarcki, Aleksandra dla Ariosta, Eleonora
d'Est dla Tassa.

HRABINA.

Och!... pochlebiać kobietom, to rzemiosło poetów, a
one, biedne, lgną do tego miodu.

ALFIERI.

Przeciwnie. Miód jest na purpurowych usteczkach pię-
knych kobiet. Pszczoły sameby to poświadczyły... (*podnosząc*
się) Ale teraz ci panowie już za lada chwilę wrócę... trzeba
nam przerwać tę słodką rozmowę.

HRABINA.

Mamy czas jeszcze. Oni modlą się i perorują w pod-
ziemiach św. Piotra, a potem podobno Karol i kardynał
mają posłuchanie u Papieża... Wszystko to długo potrwa.

ALFIERI.

Nie spuszcжайmy się na to. Czas szybko ubiega na tak
lubych pogadankach, a mnie straszliwie krępują prawa go-
ścińności (*wstaje*).

HRABINA (*wstrzymując go za rękę*).

Zostań hrabio, na moją odpowiedzialność... Ja usłyszę
ich zdaleka wracających.

ALFIERI.

Cyt... ot... właśnie słyszę skrzypienie wrót od ogrodu...

HRABINA (*po chwili milczenia*).

Nie, to skrzypnęła gdzieś gałązka na drzewie... nie
więcej! Siądź hrabio!

ALFIERI.

Nie, nie mogę kochana hrabino.

HRABINA.

Powiedźże mi Wiktorze, czy mnie kochasz?

ALFIERI.

Kocham cię pani... uwielbiam... ale...

HRABINA.

Ale co?

ALFIERI.

Ale nie chcę, aby na nas złośliwe języki rzuciły klątwę.

HRABINA.

O! my kobiety nie mamy podobnych skrupułów kiedy kochamy prawdziwie. Zapominamy wtenczas o wszystkim... Miłość zaś poety jest, jak widzę, tylko w słowach, które wiatr unosi!...

ALFIERI (*przyklęka biorąc jej rękę*).

Ludwiko!... tyś mojem szczęściem!... moją jedyną myślą!... mojem życiem!...

HRABINA.

Poezya!... poezya!...

ALFIERI.

Nie, to jest szczerzy głos mego serca! tylko wołabym ci go dać słyszeć w innej chwili!

SCENA II.

CIŻ — KAROLINA.

KAROLINA (*pokazuje się między kolumnami, wydając krzyk głuchy*).

Ach!...

HRABINA (*zrywając się, żywo idzie naprzeciw Karoliny*).

To waćpanna po to tu jesteś, abyś mnie szpiegowała... Idź więc! donieś swojemu panu, coś widziała... idź! i możesz mu powiedzieć, że mam dosyć tych kajdan, w których życie moje trawię, przykuta do starca, brutala... pijaka... dodaj, że on mnie już więcej nie zobaczy! —

KAROLINA.

O pani!... chcesz więc zabić swojego męża?!

HRABINA.

Waćpannabyś wolała, żeby on mnie zabił!

KAROLINA.

Pani hrabino, ja nie jestem szpiegiem i nie myślę cię oskarżać... ale pomnij, że ten starzec położył w tobie ufność bez granic i tą ufnością żyje, złożywszy ci w ofierze wszystko, co mu pozostało na ziemi... imię uświetnione na tronie, uświęcone w męczeństwie i serce bohaterskie!...

HRABINA.

Och! o to serce bohaterskie bynajmniej nie dbam... Mam go dosyć!

KAROLINA.

Ach pani! wszakże złączoną z nim zostałaś przed ołtarzem wobec Boga!

HRABINA.

A z jakiegoż to prawa waćpanna do mnie na ten ton przemawiasz?

KAROLINA.

Prawo to daje mi przywiązanie czyste i święte, wyższe nad wszelkie względy, jakie mam dla księżęcia, który jest mężem Pani.

HRABINA.

Kiedy tak, jedna z nas dwóch jest zbyt uczynną w tym domu... ustępuję miejsca waćpannie i wyjeżdżam natychmiast (*chce odejść*).

KAROLINA (*zastępując jej drogę z założonymi jak do modlitwy rękami*).

Ach pani, na imię boskie nie czyń tego! Ja nic nie widziałam, nic nie słyszałam... o niczem nie wiem, co tu zaszło. Mąż pani nie przestanie jej kochać... ale nie zadawaj mu takiego ciosu w chwili, kiedy mu potrzeba wszystkich sił ducha, ażeby wystąpił do ostatniej walki, z której, może da Bóg, przyniesie ci pani koronę.

HRABINA.

Och! chyba koronę z papieru!... Nie widzę doprawdy, jaki cel mieć możecie, durząc tego starca... Zapewne to wymysł waćpanny, ażeby łatwiej słaby jego umysł opanować.

KAROLINA (*na stronie*).

O mój Boże! Ileż ja znosić muszę od tej kobiety!...

ALFIERI (*zbliża się do hrabiny i półgłosem*).

Hrabino!... trochę litości!...

HRABINA.

Jakto? więc chcesz pan, żebym się ugięła przed nią — żebym została na łasce tej dziewczyny nieprawego urodzenia, która miała zuchwałość wdrzeć się do tego domu i rozpałoszyć się w nim wobec mnie.

KAROLINA.

Pani Hrabino, za moje urodzenie nie jestem odpowiedzialną, ale żyję i umrę uczciwą kobietą, wierną moim obowiązkom, a pani... której do kolebki wrzucił los mitrę księżniczki udziałnej, tego o sobie nie powiesz!

HRABINA.

Ach!... tego już zanadto!... Ona mnie lży!... depce nogami!... (*szlocha*) Oto jest, co mi ostatecznie przyniosło to przebrzydłe małżeństwo, w którym zużyłam, jak na galerach, moją młodość... O! mościa panno, dłużej widoku twego nie zniosę.

(*Wychodzi z pośpiechem, gorączkowo, zostawiając wachlarz na sofie*).

SCENA III.

KAROLINA — ALFIERI.

KAROLINA (*staje naprzeciw Alfierego*).

Panie Hrabio! potakujesz więc takiej ucieczce żony od męża, która dom twój hańbą okryje.

ALFIERI.

Pani! uczynię z mojej strony wszystko!... (*na stronie*) Na honor, pyszny to wzór Antygony do mojej rozpoczętej tragedyi... (*do Karoliny*) Uczynię wszystko, co będzie możebnem, aby powstrzymać hrabinę... pod tym jednak warunkiem, że pani zachowasz w tajemnicy... coś tu przypadkiem dostrzegła.

KAROLINA.

A potem?... jestże podobném, abym stała się waszą współniczką i zwodziła tego, którego czczę i Kocham najwięcej na ziemi?... Jestże to podobném?... pytam się pana, Hrabio Alfieri!

ALFIERI.

Są okoliczności fatalne... których odrobić nie można.

KAROLINA.

Ależ pan nie zdajesz sobie sprawy z położenia, w jakim się postawiłeś względem księcia, który jest jego gościem.

ALFIERI.

Nie widzę, co panią upoważnia do dawania mi przestroóg.

KAROLINA.

Ja nie chcę pana obrażać... przemawiam tylko do jego serca... do jego sumienia... do jego honoru... a Bóg jeden nas słyszy... Przypomnij sobie panie, żeś ofiarował Księżciu Karolowi gościnność w chwili, gdy go niecierpliwie wypędzano z Florencyi, i on przyjął tę gościnność szczerém, ufném sercem, nie przypuszczając, ażebyś w podobnej okoliczności mógł być tknięty inną pobudką, jak szlachetném współczuciem, godném starodawnego patrycyusza i wielkiego poety! Dziś jest pod dachem pańskim, ściska jego rękę jak przyjaciela, a pan?... Pan go zdradzasz!

ALFIERI (*żywo*).

Pani! ...

KAROLINA.

Możeszże temu zaprzeczyć?... O panie Hrabio, mało znam świata, ale w naszych górach gościnność nigdy nie była podstępna, a w tym pałacu potomek królów Anglii i Szkocyi wpadł w zastawioną na niego zasadzkę.

ALFIERI.

Co to, to nie!... i zabraniam pani tego powtarzać. Zafiarowałem Księżciu Karolowi gościnność, idąc li tylko za popędem serca... przysięgam to na honor! A żem zawinił przeciw niemu, to jest fatalném dziełem namiętności, która się nie zastanawia.

KAROLINA (*na stronie*).

Ach przecież sumienie w nim się odezwało. (*Głośno*) Zawierzam Hrabio Alfieri twoim słowom. Tak, podstęp podobny byłby zbyt szkaradny, aby człowiek honoru mógł się go dopuścić. — Lecz ten starzec ufny, który przyjął gościnność u pana, gdy się dowie, jakim ją kosztem opłaca, nie

osądzi- że, iż go z zamysłem zdradzieckim do swojego domu ściągnąłeś?... A jak on, tak wszyscy osądzą. — Na twojej sławie panie, niezmazana pozostanie plama! Świat mówić będzie aż do późnych pokoleń: „Był to wielki poeta, który wystawiał na scenie najwznioślejsze wzory cnót i kładł im w usta wiersze przepyszne, ale co innego jest w jego wierszach, a co innego było w jego sercu.“

ALFIERI.

Dosyć tego pani!... dosyć!

KAROLINA.

Nie dosyć panie Hrabio, bo nie wiesz jeszcze, jak daleko sięga krzywda, którą wyrządzasz nieszczęsnemu Księżciu i jak okropne może spowodować skutki. Muszę ci to wyjawić: Karol Edward nie jest już dziś tym człowiekiem, zważywszy, że zobojętniałem na wszystko, szukającym zapomnienia w zabójczym trunku, jakim go niedawno widziałeś... Na głos Szkocyi, szlachetnym wysileniem ducha, podniósł się z upadku, aby stanąć wobec historyi z całą odpowiedzialnością, jaką nań wkłada wielkie imię Stuartów... Idzie raz jeszcze walczyć za prawa swoje i swojego brata z postanowieniem, że jeżeli nie zwycięży, to Bogu te prawa nietknięte odda, a imię jego rodu na polu bitwy zagaśnie, lecz pan, Hrabio Alfieri, zagradasz mu drogę do tego celu i gotujesz okropną ostatnią kartę do dziejów rodu Stuartów... bo on zabije żonę, gdy się dowie, że mu złamała wiarę... zabije ją bez litości... zapowiadam Ci to... ja wiem to dobrze!... zabije ją i umrze z rozpaczy, ze znamieniem zabójcy na czole!

ALFIERI.

Ale na Boga! pani, cóż ja na to mogę?

KAROLINA.

Wyjechać!... wyjechać natychmiast i zerwać te węzły fatalne!...

ALFIERI.

Pani!... nie wiesz jak trudno zerwać węzły sercowe.

KAROLINA (*biorąc go za rękę*).

O panie hrabio, człowiek honoru powinien mieć dosyć mocy nad sobą, ażeby je skruszył, kiedy mu to obowiązek święty nakazuje, choćby rana w sercu krwawić się miała całe jego życie!...

SCENA IV.

CIŻ — KSIĄŻĘ KAROL — KARDYNAŁ — DUNBAR —
MAC GREGOR później HRABINA.

DUNBAR (*wchodząc za książętami na stronie*).

Karolina sam na sam z tym Włochem i tylko co rękę jego puściła... Czy nie dla niego chce ona zerwać ze mną? Och to myśl okropna!

KS. KAROL (*skłoniwszy się Alfieremu do Karoliny półgłosem*).

Coś tu robiła moje dziecko sama jedna z hrabią Alfierim?

KAROLINA (*nieco zmięszana*).

Mój Ojciec... rozmawialiśmy o tobie!

KS. KAROL (*odprowadzając ją na bok*).

Karolino, jesteś Szkotką, szczerą i ufną... strzeż się tych pięknych włoskich paniczów... Alfieri zaleca się do ciebie, nieprawdaż?

KAROLINA (*na stronie*).

Podęjrzenia jego zbłąkały się... tem lepiej! (*głośno*)
Mój Ojciec... zdaje mi się, że tak... trochę...

KS. KAROL.

A powiedziałaś mi niedawno, że jesteś zaręczoną z Dunbarem...

KAROLINA.

Och, ja nie zwracam uwagi na zaloty hrabiego Alfieri.

KS. KAROL.

To niedosyć; nie powinnaś nigdy zostawać z nim sam na sam, skoroś rękę przyrzekła innemu. To nie po szkoeku i ja tego nie chcę; pamiętaj o tém moja córko! (*przechodzi na drugą stronę ku Alfieremu*).

DUNBAR (*zbliżając się do Karoliny*).

Karolino, muszę ci uczynić jedno wyznanie, którego dotąd nie słyszałaś z ust moich. Jestem zazdrosny!

KAROLINA.

Ach! jesteś zazdrosny Milordzie? Spójrzij mi w oczy... jestemże kobietą zasługującą na podejrzenie? Wszak od najmłodszych moich lat mogłeś czytać w méj duszy, jak w książce otwartéj i nie ufasz mi? Więc nic w niej nie wyczytałeś...

DUNBAR.

Karolino! znieważyłem Cię!... przebacz!... Mówiłem bez zastanowienia, uniesiony ślepą... szaloną zazdrością... bo kocham Cię nad życie!...

KAROLINA.

Jeżeli chcesz mnie kochać Edwardzie, tak jak ja pragnę być kochaną od ciebie, to połóż we mnie ufność zupełną, której nicby zachwiać nie było w stanie (*po chwili*). Ale miłość taka jest niepodobną na ziemi.

DUNBAR.

Karolino, przysięgam ci!...

KAROLINA.

Nie przysięgaj Edwardzie.... Trzykroćbyś się sprzeniewierzył nim kur zapieje!...

(Przechodzi na drugą stronę ku ojcu i Alfieremu — Dunbar idzie za nią. — Po lewej stronie Mac Gregor rozmawiając z Kardynałem, zwraca oczy na wachlarz zapomniany na kanapie przez hrabinę — podchodzi i bierze wachlarz w rękę).

MAC GREGOR *(na str., kładąc napowrót wachlarz na kanapie).*

Kobiety zawsze same się zdradzają. *(Zażywa)* Nieprze-zorność chroniczna!

KARDYNAŁ *(do Mac Gregora).*

To wachlarz hrabiny?

MAC GREGOR.

Zdaje się.

KARDYNAŁ.

Hm, nie towarzyszyła nam pod pozorem, jakoby czuła się słabą; a podczas gdyśmy byli w pieczarach bazyliki, ona tu miała bezwątpienia schadzkę z Alfierim!... *(zbliża się do ks. Karola, bierze go pod ramię i odprowadza na bok)* Karolu, trzeba, żebyś opuścił ten pałac i podzielił moje skromne mieszkanie.

KS. KAROL.

Dlaczegoż to?

KARDYNAŁ.

Mam bardzo ważne powody, aby cię do tego naglić.

KS. KAROL.

Jakież masz powody?... powiedz mi.

KARDYNAŁ.

Powody... osobiste... kościelne...

KS. KAROL.

Ależ dla hrabiny będzie za szczupło w twoim domu mój bracie; a potem broń, którą mam zakupywać, jakże ją gromadzić w mieszkaniu księcia kościoła?... Czyżby to nie ściągnęło jakich kłopotów na dwór watykański?

KARDYNAŁ.

Wszystko to lepsze bracie, niż żebyś dłużej bawił w tym domu.

ALFIERI *(na stronie)*.

Rozumiem o co chodzi kardynałowi! hrabina zostawiła tu nierozważnie dowód przeciw nam obojgu. Nie mogę się dłużej wachać... Karolina miała słuszość, trzeba mi wyjechać.. *(zbliża się do ks. Karola)* Mości Książę, proszę mi przebaczyć, że przerywam rozmowę Waszjej Książęcej Mości; mam jej kilka słów pilnych powiedzieć. Interesa bardzo ważne powołują mnie do Francji... i wyjeżdżam tej nocy, zostawiając cały mój pałac do użytku Waszjej Książęcej Mości... bo zapewne długi czas zabawię za granicą.

KS. KAROL.

Tak nagle nas hrabio porzucasz!
(Hrabina wchodzi).

ALFIERI.

Właśnie w czasie nieobecności W. Ks. Mości, przyszedł mi depesze, które mnie do tego zmuszają... Chodzi o interesa, które nie cierpią zwłoki.

HRABINA *(na stronie)*.

Cóż to być może?

KS. KAROL *(sposstrzegając żonę)*.

Ludwiko, hrabia Alfieri opuszcza nas tej nocy i jak powiada na długo.

HRABINA (*na stronie*).

Jeżeli tak jest... to nie pojedzie sam!...

Zasłona spada.

KONIEC AKTU TRZECIEGO.

AKT CZWARTY.



Obraz I.

(Sala jadalna w pałacu Alfierich. — Drzwi na prawo, na lewo i w głębi. — W środku stół w podkowę nakryty do wieczery, na boku mały stolik z butelkami wina. — Lampy i świece zapalane).

SCENA I.

KS. KAROL, MAC GREGOR *(wchodzą)*.

KS. KAROL.

A!- stół już nakryty... to dobrze!... *(idzie do stolika z winem)* Ale włoskie tylko i francuskie wina... *(dzwoni)*.

MAC GREGOR.

Bo też nie potrzeba innych W. Ks. Mości.

KS. KAROL.

A moim Szkotom?... Gdybym ich tylko taką różanną wodą częstował, toby powiedzieli, że ks. Karol straszliwie zeskapał na starość. *(Do wchodzącego lokaja)* Przynieś Madery, Xeresu, Porto z roku 1750.

MAC GREGOR.

Dla Boga!... Win hiszpańskich i jeszcze tak starych!...

KS. KAROL.

Zrędzisz niepotrzebnie... sam pić nie będę, nie mam do tego humoru. (*Siada na fotelu i po chwili*) Powiedz mi stary, z kąd to przyszło mojemu bratu namawiać mnie, ażebym się przeniósł do niego. Nalegał na mnie, jakby to była rzecz ogromnej wagi... cóż to za sekret?

MAC GREGOR (*zażywa — po chwili*).

Nie wiem tego, Mości Książę.

KS. KAROL (*podnosząc się żywo*).

Ale do stu piorunów, ja chcę! i muszę wiedzieć!

MAC GREGOR.

Uspokój się Mości Książę... to nic... to przeszło... Możesz teraz spokojnie siedzieć w tym pałacu.

KS. KAROL.

A dlaczegoż to?... Czy dlatego, że Alfieri wyjeżdża?... (*po chwili*) No i cóż?... oniemiałeś?...

MAC GREGOR.

A więc tak!...

KS. KAROL.

Tak?... dlatego że Alfieri wyjeżdża? Więc to on był dla mnie niebezpiecznym?... (*Mac Gregor zażywa i nic nie odpowiada. Ks. Karol gwałtownie chwytając go za rękę*) To kochanek mojej żony!...

MAC GREGOR.

Nie Mości Książę, ale...

KS. KAROL.

Ale cóż?

MAC GREGOR.

Książę wiesz, jak to świat jest złośliwy; gdyby Alfieri tu przesiadywał, to złe języki możeby sobie pozwalały szarpać dobrą sławę hrabiny... *(na stronie)* Strasznie mnie przypiera swojemi pytaniami. *(zażywa)* Gdybym mógł się wymknąć.

KS. KAROL *(do siebie)*.

Byłoby to prawdą... że na piersiach moich zmiję rozgrzewam?... Boże mój, ja, dumny, zapaleczywy, którybym najmniejszego ubliżenia sobie nikomu nie przebaczył, stałem się uległym sługą téj kobiety; znosiłem jój oziębłość, jój kaprysy, jój wzgardę — bo wierzyłem w jój cnotę... lecz jeśli mnie zdradza, jeśli ośmieliła się mieć kochanka! to wszystko com od niój wycierpiał, za jednym razem mi zapłaci!...

(Karolina wchodzi w ubiorze szkockim, niosąc w ręku zawiniątko, które składa na boku na krześle).

MAC GREGOR *(spostrzegając ją)*.

Chwała Bogu! otóż Karolina... Zostawię ich samych.— Ona potrafi się gładko wywinać z takich indagacyj.

SCENA II.

KS. KAROL, KAROLINA potem MAC GREGOR.

KAROLINA *(na stronie)*.

Mój ojciec zamyślony, posepny... drzę, czy hrabina nie spełniła swojej pogrózki ..

KS. KAROL.

A!... Karolino!... dobrze, żeś przyszła... Chodź tu moje dziecko... *(Karolina klęka przy nim, całuje jego ręce i zostaje u nóg jego, opierając się na jego kolanach)* Karolino,

jesteś poczciwa dziewczyna... kłamać nie umiesz... i kochasz starego ojca, nieprawdaż?

KAROLINA.

O tak, mój ojcie!

KS. KAROL.

Powiedzże mi szczerze; gdy dziś w południe wróciłaś z Bazyliki zastałaś — nieprawdaż moją żonę z hrabią Alfierim!...

KAROLINA (*powstając — na stronie*).

Domyśla się prawdy. (*Głośno*) Nie mój ojcie, Alfieri był sam. —

KS. KAROL (*powątpiewając*).

Sam? tu w przysionku?...

KAROLINA.

Był w ogrodzie, przechadzał się... zdaje mi się, że wiersze powtarzał... i poszedł za mną do przysionka...

KS. KAROL.

Więc doprawdy, on się do ciebie zaleca?

KAROLINA (*niepewnie*).

Tak...

KS. KAROL.

I odkądże?

KAROLINA.

Jeżeli się nie mylę... (*na stronie*) Och, gdyby kto tę rozmowę posłyszał! (*głośno*) to od przybycia naszego do Rzymu.

KS. KAROL.

I sądzisz, że on istotnie zakochany w tobie?... Mów otwarcie... chcę wiedzieć prawdę.

KAROLINA (*po chwili wahania*).

Tak mój ojcze! —

KS. KAROL (*na stronie*).

Niesłusznie podejrzewają hrabinę. — (*Głośno i wesoło*)
I ty pozwalasz na jego umizgi?... a Dunbar?...

KAROLINA (*pieszczotliwie*).

Mój ojcze, to tak zabawnie żartować sobie czasem z mężczyzn... My kobiety, jak się sposobność zdarza, obronić się od tego nie umiemy.

KS. KAROL.

Nie sądziłem, żeś taką kokietką... ale zaniechaj podobnych zabawek. Dunbar mógłby tego za żart nie uważać.

KAROLINA (*na stronie*).

Chmura już rozpędzona... Lecz co hrabina poczęła z sobą?

KS. KAROL.

Karolino — powiedziałaś mi, że jesteś zaręczoną z Dunbarem, ale nie wiem, kiedy wasz ślub ma nastąpić.

KAROLINA.

Ojcze! jak będziesz królem Anglii i Szkocyi.

KS. KAROL.

Czy ja nim będę kiedy, to bardzo niepewne — Nie! ja chcę was widzieć jak najprędzej złączonych.

KAROLINA (*z przymileniem*).

Więc ja ci nie potrzebną jestem mój Ojcze? Nie tęskno-że ci będzie, nie widząc mnie przy sobie?...

KS. KAROL.

O tęskno mi będzie.

KAROLINA.

Więc nie mówmy teraz o tém. Nie zauważyłaś kochany Ojcze, że jestem w zupełnym stroju hrabstwa Invernes...

(Wstaje i pokazuje mu się ze wszystkich stron).

KS. KAROL.

Prawda! i strój to najmiłszy dla mnie.

KAROLINA.

Będzie miłym także, spodziewam się i dla naszych zacnych Szkotów.

KS. KAROL.

A tacy goście więcej dla mnie znaczą, niż gdybym miał około mego stołu koronowane głowy.

KAROLINA.

Dlatego też przyniosłam i tobie mój ojeze na tę wieczną strój paradny.

KS. KAROL.

A jakież to?

KAROLINA *(wyjmuje z zawinięcia kapelusz z piórem z czasów Ludwika XVgo i szablę bogatą).*

Oto kapelusz twój przestrzelony pod Culloden, a to szabla króla Jana Sobieskiego, twojego dziada, którąś przez całą tę wyprawę nosił przy boku.

MAC GREGOR *(wchodząc na stronę).*

Przebiegła dziewczyna, uspokoiła go zupełnie i zabawia go nawet jakimiś cackami.

KAROLINA.

Przypominasz sobie mój ojeze, że te przedmioty powierzyłeś do schowania matce mojej w jaskini Benalderu, ona zaś zostawiła je w domu rodzicielskim, udając się z tobą do

Francyi. (*kładzie te przedmioty przy nim na krześle; spostrzegłszy Mac Gregora, podchodzi ku niemu i cicho*). Doktorze, czy jest hrabina w domu?

MAC GREGOR.

Nie wiem tego Milady.

KAROLINA (*na stronie*).

O mój Boże! jakże ta niespokojność serce mi tłoczy (*wraca do ojca*).

KS. KAROL (*trzymając w ręku kapelusz i przypatrując mu się*).

Tak, to tensam! Z niego wieje mi moja młodość nierozważna, trochę pusta, ale rycerska... wielkoduszna... nie wątpiąca o niczem!

KAROLINA.

Tak mój ojciec, rycerska młodość twoja owiewa cię i wstępuje napowrót w ciebie. Jesteś znowu Karolem Edwardem przed laty! (*pokazując mu szablę*) i oręż ten w twoim ręku jeszcze cudów waleczności dokazywać będzie!

KS. KAROL (*dobywa szablę z pochwy i podnosi*).

Chlubny! święty orężu!... błyszczałeś jak miecz Archaniola nad głowami Muzułmanów pod murami Wiednia! Były dnie, kiedyś i w moim ręku drogę zwycięstwa wskazywał... O bądź moim talizmanem, — Na schyłku życia... raz jeszcze idę do walki i jeżeli zwycięstwo nie jest mi przeznaczone, niechże zginę na czele moich wiernych Szkotów, trzymając cię w téj dłoni i tak zakończę nieszczęsną dynastyę Stuartów!...

(*Idzie chwiejnym krokiem ku fotelowi — Karolina i Mac Gregor przybiegają do niego*).

MAC GREGOR (*do Karoliny*).

Takto Milady oszczędzasz mu wzruszeń?

KS. KAROL (*kładąc rękę na głowę Karoliny*).

Nie gdéráj stary... ona jest moim prawdziwym lekarzem, bo utrzymuje ducha a w nim jest wszystko; siła, zdrowie, życie!

MAC GREGOR (*zażywa*).

Któż to powiada?... chyba jaki metafizyk niemiecki, ale pewno nie patolog.

(*Lokaj przynosi wina hiszpańskie w koszu i stawia na małym stoliku*).

KS. KAROL (*do lokaja*).

Gdzie jest hrabina?

LOKAJ.

W swoich pokojach Mości Księżę.

KAROLINA (*pólgłosem do lokaja*).

Czy widziałeś ją?

LOKAJ (*do Karoliny*).

Widziałem przed chwilą, Milady.

KAROLINA (*na stronie*).

Ach, oddycham!

KS. KAROL.

Nie przyjdzie nawet rzucić okiem na te przygotowania do wieczery (*lokaj odchodzi*).

KAROLINA.

Otóż i Panowie Szkocey idą.

SCENA III.

CIŻ — PANOWIE SZKOCCY, potem HRABINA.

KS. KAROL (*powstaje, idzie naprzeciw wchodzących i podając im ręce*).

Witam was przyjaciele! Co to za radość dla mnie, widzieć was zgromadzonych około siebie. Nie doznałem jeszcze podobnej na włoskiej ziemi. (*na stronie*) Ale dlaczego hrabina nie przychodzi!... (*dzwoni do wchodzącego lokaja*) Idź powiedz hrabinie, że bardzo proszę, aby natychmiast przyszła. (*biorąc w rękę kapelusz z piórem*). Panowie! mogę wam się pokłonić kapeluszem, który nosiłem pod Prestonem, Falkirkiem, Culloden... pozostał ślad tego na nim... Poznajesz go Tulibardinie?

TULIBARDIN.

Jakżebym go nie poznał? Widzę, jakby przed oczami W. Ks. Mość na białym koniu, w krótkim płaszczyku zarzuconym na ramiona, w tym kapelusiku nałożonym nieco na ucho i z szablą króla Jana Sobieskiego przy boku!

KS. KAROL.

Upłynęło nie mało wody do morza od owego czasu... (*Hrabina wchodzi, ks. Karol półgłosem do niej*) Ach! przecież pani hrabina raczyła nam się pokazać. (*głośno*) Przedstawiam pani margrabiego Tulibardina, mojego dawnego towarzysza broni, — hrabiego Dunbar syna mojego niegdyś gubernera i wszystkich tych panów, wysłańców mojej wiernej Szkocyi!... (*Szkoci kłaniają się nisko hrabinie, ona im oddaje ceremonialny zimny ukłon*). Teraz do stołu moi Panowie!... (*Wszyscy siadają do stołu, lokaje roznoszą półniski*).

KS. KAROL (*po chwili milczenia*).

Przypominasz sobie Tulibardinie nasze uczyty w Holyroodzie? Ileż to stołów bywało zastawionych w ogromnej biśniadnej sali zamku... wokoło których cisnęli się górale, mieszczanie, lordowie! Nie było tam wycedzonej etykiety

jak na dworze Hanowerczyków. Szczerłość, żwawa wesołość, panowały od jednego do drugiego końca sali. Była to jedna wielka rodzina zgromadzona około swojego naczelnika; a w tym tłumie wiele to było nadobnych twarzyczek! Pamiętasz stary towarzyszu cudowną Florę Macdonald poetkę i tyle innych bardek, które pieśniami swemi zagrzewały braci do walki za moją sprawę!

TULIBARDIN.

Och! W. Ks. Mość tyle rozbudzałeś zapału w sercach pleci nadobnej, że możnaby było wystawić hufiec bohaterek...

JEDEN Z PANÓW.

Uzbrojonych w strzeliste wejrzenia i podbójeże uśmiechy.

INNY Z PANÓW.

I zdolnych wziąć cały obóz angielski w niewolę, bez wystrzału...

INNY.

Biorąc wszystkich za serca.

TULIBARDIN.

Żartujecie sobie panowie młodzi, ale nie widzieliście ani już widzieć będziecie podobnego pokolenia dzielnych Szkotek.

JEDEN Z PANÓW.

Wszakże mamy jedną podobną między nami...

(Wszyscy spoglądają na Karolinę).

INNY Z PANÓW.

Która nawet zaćmiła dawniejsze.

WSZYSCY.

Bravo!!

MAC GREGOR.

Dziewica Orleańska *(zażywa)* edycyi inverneńskiej.

KAROLINA (*zmięszana*).

Panowie! zawstydzacie mnie!

KS. KAROL (*do Karoliny*).

Za karę, naléj im pełne kielichy Xeresu! (*Karolina wstaje, bierze butelkę i chce najprzód nalać hrabinie*).

HRABINA (*odsuwając kielich — sucho*).

Dziękuję!

KAROLINA (*do ucha hrabiny*).

Na Imię Boskie! nie zdradzaj się Pani Hrabino, on cię już podejrzywa!

(*Nalewa w inne kielichy*).

KS. KAROL (*powstaje z pełnym kielichem, wszyscy także powstają*).

Pijmy panowie za pomyślność naszéj ukochanéj Szkocyi. Cześć ci ziemio dzielnych mężów i enotliwych niewiast! Ziemio prawości, czystych obyczajów, szczeréj przyjaźni, gościnności słynnéj na świecie całym! Ziemio rycerzy! bardów, mędrców, dziewic uroczych, matron nieskażonych! Za pomyślność twoją droga ojezyzno!

SZKOCI (*razem*).

Za pomyślność Szkocyi!

KS. KAROL.

I Anglii... jéj siostry!

SZKOCI.

Za pomyślność Anglii i Szkocyi!

KS. KAROL (*do hrabiny*).

A pani nie raczyszże z nami tego toastu wychylić?

HRABINA.

Jestem cierpiąca, lecz jeżeli tego potrzeba koniecznie...

(daje znak, żeby jej nalano wina, potrąca zlekką kielichem o kielichy gości i macza w nim usta).

TULIBARDIN.

Za zdrowie prawego króla naszego Karola III! Obyśmy go jaknajprędzej widzieli na tronie!

SZKOCI.

Za zdrowie króla naszego Karola III!

KS. KAROL.

Serdecznie wam dziękuję przyjaciele! *(pije do Karoliny)*
Cóż to, złośliwa dziewczyno, nalalaś mi wody do wina?

MAC GREGOR *(zacierając ręce)*.

Doskonale zrobiła!

KS. KAROL.

Cicho bądź stary! Już koniec twojej kurateli!... Serce moje bije jak kiedyś miał lat 20, a gdy odetchnę szkockiem powietrzem, to i zmarszczki znikną, i włosy napowrót się ozłocą. Nieprawdaż Tulibardinie?

TULIBARDIN.

Odzyskasz W. Ks. Mość ze 30 lat!

KS. KAROL.

Czy słyszysz hrabino?... ale pani, jak widzę, jesteś w nader smętnym humorze... *(z lekką ironią)* nie łaskawa nam rzucić ani jednego słówka zaprawionego jak zwykle uprzejmością, wesołością, dowcipem...

HRABINA.

Już się tłumaczyłam, że jestem cierpiącą i panowie wybaczycie mi, iż muszę się oddalić... niepodobna mi dłużej pozostać przy stole.

KS. KAROL (*sucho*).

Cheesz się pani oddalić?... jak się podoba!

(*Hrabina kłania się wszystkim głową i wychodzi drzwiami w głębi. — Ks. Karol uderza ręką w stół*).

KAROLINA (*na stronie*).

Och! jakże się boję, żeby nie było jakiego wybuchu jeszcze przed odjazdem Alfierego.

KS. KAROL (*rzuca z gniewem serwetę na stół — idzie na stronę, i do siebie*).

Do tysiąca piorunów! wiem ja, co ją trapi!

TULIBARDIN (*półgłosem do Szkotów*).

Księżę gniewa się na żonę... bo też jéjmość stroi fo-chy niepotrzebne.

KAROLINA (*przybiega do ojca — półgłosem*).

Mój ojeze, uspokój się... ona rzeczywiście cierpiąca... to widać na jéj twarzy.

KS. KAROL.

Tak... cierpiąca... bo Alfieri wyjeżdża... To jéj ko-chanek... ja ci to powiadam!

KAROLINA.

Ach nie, mój ojeze... Alfieri mną się całkiem zajął... wszakże ci to wyjawiałam...

KS. KAROL.

On cię zwodzi!... a ja widzisz, pomimo jéj oziębłości, kocham tę kobietę rozpaczłą namiętnością starca, ... kocham ją, jak sknera swoje złoto; kocham ją, aby mieć przedmiot czci, uwielbienia, miłości... bez którego żyćbym nie mógł... ale biada jéj, jeżeli téj czci niegodna... jeżeli mnie nikczemnie zwodzi.

KAROLINA.

Drogi ojcze, tak nie jest... oddał te myśli... Gdyby cię zwodziła, toby przecież Alfieri nie wyjeżdżał... (*bierze go pod rękę*) Chodź ojcze... wróć do stołu, bo cóż powiedzą twoi goście... Zaśpiewam wam jedną z tych pieśni z czasów twojej młodości, które lepiej rozgrzewają serca, niż wszystkie wina hiszpańskie... (*Ks. Karol daje się prowadzić i siada przy stole*).

KS. KAROL (*po chwili*).

No... zaśpiewaj nam Karolino. Panowie! Karolina przypomni nam czasy ubiegłe.

KAROLINA (*śpiewa*).

(*Aria di bravura*).

Nad miastem Prestonem pyszne słońce wstaje,
W morzu się przegląda i z miłością stroi
W złociste odblaski, góry, łąki, gaje —
Lecz czemuż pod miastem tyle wojska stoi
I w tak groźnym szyku ku góróm zwrócone?
Bo z gór tych prowadzi dzielne Szkotów klany,
By ojców odzyskać dziedziczną koronę,
Karol Edward Stuart, nasz wódz ukochany.

Już też słyhać kóbz ich muzykę daleką;
Z wąwozu się sypią na nadbrzeżne błonie —
Rzadkie u nich strzelby, dział z sobą nie wleką,
Miecze i topory, oto są ich bronie!
Lecz to im wystarcza i z raźnemi krzyki
Na Anglików pędzą, jak potok wezbrany,
Bo do walki wiedzie niezłomné ich szyki
Karol Edward Stuart, nasz wódz ukochany.

Gdzie bój najzaciętszy, gdzie najgęstsze strzały,
Lub, gdzie miecz wręcz z mieczem, pierś z piersią się ściera,
Tam świeci w mgle kurzu jego rumak biały,
Tam groźnie połyska szabla behatera.

I jeszcze nie przeszła pierwsza dnia połowa,
Już trupami wrogów plac boju zasłany,
Bo zwycięstwo przyrzekł i dotrzymał słowa,
Karol Edward Stuart, nasz wódz ukochany.

Cześć ci wnuku królów, dziedzicu ich prawy!
Gdy w ród namaszczony srogi grom uderzy,
To bije dzwon Boży, by do nowój sławy
Nowych z jego łona wywołać rycerzy.
A pieśni i dzieje świadczyć będą zgodnie,
Że z lwiem sercem w boju, w trudach nie znękany,
Gasnącą swych przodków rozniecił pochodnię,
Karol Edward Stuart, nasz wódz ukochany.

SZKOCI (*powstając*).

Brawo! hurra!!... Nicel żyje Lady Karolina!...

(Odchodzą od stołu i rozmawiają między sobą na boku — Ks. Karol zostaje na miejscu zasępiony, łokciem wsparty na stole i z głową na dłoni).

KAROLINA (*przybliża się do niego, nachyla głowę do jego twarzy*).

Mój dobry ojcze, więc pieśń moja nie potrafiła rozjaśnić twojego czoła? (*Ks. Karol jakby zbudzony wstrząsa się, dobywa szabli i następuje na nią nogą, aby ją złamać*). Ojcze mój! co czynisz?!

KS. KAROL.

Łamię ją!

KAROLINA (*z przerażeniem*).

Dla czegożto mój ojcze?

KS. KAROL.

Bo czuję, że ręka moja nie godna nią władać... Bohater, któregoś opiewała Karolino... już nie istnieje... Darownie go wywoływać! Dziś poniósłbym na pole bitwy serce bez zapалу, bez wiary... bez nadziei! i wobec ważących się losów mojego rodu i mojego kraju nie mógłbym myśli oder-

wać od téj kobiety, która opanowała całą moją istotę... Mówiłbym sobie: „Może w téj chwili mnie zdradza“! Och przeklęta ta kobieta! Ona zniweczyła wszystko, co było szlachetnego w méj duszy! —

KAROLINA.

Mój ojciec, wszakże Ewangelia nakazuje małżonce chrześcijańskiej wszystko porzucić, a iść za mężem... Zmus ją niezłomną wolą, ażeby ci towarzyszyła w twojej wyprawie, a będziesz miał serce spokojne.

KS. KAROL (*po chwili namysłu*).

To prawda... powinna iść za mną... to jéj obowiązek!.. Mój dobry duch zawsze przemawia przez twoje usta. (*wstaje, całuje ją w czoło, — do panów*) Byłem dziwnie roz-targniony... a wy wstaliście od stołu...

TULIBARDIN.

Miłościwy panie, trzeba nam się gotować do wyjazdu... godzina już późna, a przed świtem musimy już być w drodze.

KS. KAROL.

Więc jeszcze jeden toast!

(*Karolina nalewa*).

KS. KAROL (*trzymając w ręku kielich*).

Do rychłego widzenia się na szkockiej ziemi!

SZKOCI (*z kielichami*).

Na szkockiej ziemi!

(*Wszyscy wychylają kielichy*).

KS. KAROL.

Przedewszystkiem przyszlę wam broni i amunicyi... i zaraz napiszę do Ludwika XVI, żeby takową przesyłkę mi ułatwił... Dunbarze, zostaniesz tu parę chwil ze mną, jak list będzie gotowy, zabierzesz go i w przejeździe wręczysz osobiście Jego Arcy-chrześcijańskiej Mości, królowi francu-

skiemu w Wersalu... A teraz żegnaj was przyjaciele!...
Bądźcie zdrowi!... Niech wam Bóg dopomaga!

SZKOCI.

Niech żyje Karol III-ci!

(Ks. Karol ściska ich za ręce — Szkoci z wyjątkiem Dunbara
wychodzą głębią. Lokaje uprzątają stoły).

KS. KAROL (do Karoliny).

Dobranoc moje dziecko ... (całuje ją w czoło — Karo-
lina wychodzi przez drzwi na prawo).

MAC GREGOR.

Czy jestem jeszcze potrzebny W. Ks. Mości?

KS. KAROL.

Nie, idź spać stary.

(Mac Gregor wychodzi głębią).

SCENA IV.

KS. KAROL, DUNBAR.

KS. KAROL (do Dunbara).

Zostańmy tu... (pokazuje krzesło przy stoliku na boku)
Siądź tam mój synu i czekaj. — Ja się zabieram do pisania.
(siada i bierze pióro). Nie zabawna to rzecz układać frazesy;
zwłaszcza, kiedy trzeba o coś prosić, a w dodatku jeszcze pi-
sać po francusku... Tego djabelskiego języka nigdy dobrze
wyuczyć się nie mogłem... Ale nie ma rady, trzeba tę pań-
szczyznę odrobić, nie upokarzając się jednak. Urodzeniem
i prawem mojem jestem równy Ludwikowi XVI i nie po-
stawię się niżej od niego. (pisze) Monsieur mon frère...
dobra francuszczyzna... styl dyplomatyczny... dalej, (myśli,
kręcąc się w fotelu) Jak tu u diabła powiedzieć?... Węzły
łączące dom Stuartów z domem Burbonów?... Węzły... les

noeuds... nie! les at... tachements... jeszcze gorzej!... les liaisons... jakoś to nie brzmi zupełnie dobrze — les... li... li... Dunbarze, nie potrafisz mi dopomódz?...

DUNBAR.

Les Connexions... (*wymawia konekszien*).

KS. KAROL.

Aj, aj, aj... widzę, że we dwóch nie złożymy się na jeden poczciwy frazes francuski; trzeba moją żonę przyzwać na pomoc... Ona po francusku pisze lepiej, niż swoim rodzowitym językiem. (*dzwoni — do wchodzącego lokaja*) Prosić najuprzejmiej hrabinę, żeby tu przysłała... niech jej powiedzą, że rzecz bardzo pilna i ważna. Jeśli śpi niech ją delikatnie obudzą. (*Lokaj odchodzi*). Kłopotuje mnie to najwięcej, że Ludwik XVI pokaże ten list Maryi Antoninie, ta zaś swoim damom dworskim i dworakom, a gdyby były w nim błędy... dopierożbyto drwili sobie ze mnie... że przepędziłem znaczną część życia we Francyi, a nie umiem po francusku.

DUNBAR.

Lecz Mości Książę, czyby się bez tego listu nie obeszło?

KS. KAROL.

I zostać na łasce ludzi bez czei i wiary... którzyby broń dla nas przeznaczoną wydali niewątpliwie strażnikom angielskim, jeżeliby im chcieli lepiej zapłacić! (*do wchodzącego lokaja*) I cóż? czy hrabina przyjdzie?

LOKAJ.

Mości książę, pokojówka powiada, że pani hrabiny niema w swoich pokojach.

KS. KAROL.

Jakto niema?... była cierpiącą przy stole i poszła się położyć.

LOKAJ.

Pokojówka mówi, że nie wróciła do swoich pokoi, że łóżko jéj nietknięte.

KS. KAROL.

Co to jest u stu piorunów!!! (*zrywa się i wybiega głębią*).

SCENA V.

DUNBAR — KAROLINA.

(*Karolina za drzwiami z prawej strony*).

DUNBAR (*do siebie*).

Rzecz szczególna... Hrabina wstała od stołu, mówiąc że jest słabą, a niema jéj w jéj pokojach... Czyżby ta słabość była udaną?... Słyszę loskot drzwi odmykanych... i groźny głos księcia.

(*Zbliża się ku drzwiom w głębi. Karolina wychyla się z poza drzwi z prawej strony*).

KAROLINA (*do siebie*).

O mój Boże! Co to jest? przewidywałam jakiś wypadek fatalny!

(*Ks. Karol wchodzi z dwoma pistoletami. Karolina kryje się, zostawiając drzwi lekko odemknięte*).

SCENA VI.

KS. KAROL — DUNBAR — KAROLINA (*z prawej*).KS. KAROL (*biorąc za rękę Dunbara*).

Edwardzie, jesteś z rodziny, na której Stuarei zawsze bezpiecznie polegali, — synem lorda Murray mojego najlepszego przyjaciela, drugiego ojea mojego. Maszże jego serce?

DUNBAR.

Królu mój! wszystka krew moja do Ciebie należy!

KS. KAROL.

Chodź więc ze mną... (*bierze ze stołu pistolety i daje mu jeden*). Skarcimy nikczemnych zdrajców!... Ty zabijesz jego!...

(*Karolina pokazuje głowę we drzwiach*).

DUNBAR.

Kogóż-to miłościwy panie?

KS. KAROL.

Kochanka mojej żony!... tego łotra, który mnie zaprosił do swojego domu, ażeby łatwiej mógł się do niej zbliżyć! Ja zaś pozostaw mojej zemście! O! hrabino d'Albany!... ludziłaś mnie przez lat 12 pozorami szlachetnej dumy, nieskalaniej enoty... a ty jesteś nędznicą bez serca... bez wstydu... bez sumienia! Och! ty żyć już nie możesz, bo istnienie twoje byłoby ciągłą dla mnie obelgą.

KAROLINA (*we drzwiach do siebie*).

Całe dzieło moje zniweczone!... takie zabójstwo położy koniec wszystkiemu!... (*z postanowieniem*) Nie! tak nie będzie! (*znika*).

DUNBAR (*przykłęka*).

Królu mój i panie miłosierny!... Jeżeli ona stała ci się niewierną, pogardź nią i nie myśl więcej o niej. Masz przed sobą cel tak wielki, okoliczności otwierają ci drogę do tronu, Szkocya czeka na ciebie... Możesz podnieść ród Stuartów i imię ich nową rozjaśnić sławą!

KS. KAROL.

Nie! nie! ona cięży na moim życiu i dopóki się nie zemszczę, do niczego nie jestem zdolny!

DUNBAR.

Ach panie, przeczekaj tę chwilę straszliwego gniewu...
Ze spokojniejszym umysłem poweźmiesz inne postanowienie!

KS. KAROL (*z gniewem*).

Więc nie czujesz, jaką oni mi ranę zadali aż do głębi
serca! Och nie mów więc, iż jesteś synem lorda Murray!

DUNBAR (*wstając*).

Miłościwy panie, idę z tobą!

KS. KAROL.

Ach przecież!... Idźmy!

(*Wychodzą drzwiami w głębi*).

Zmiana natychmiastowa dekoracji.

Obraz II.

(*Pokój sypialny Alfierego. W głębi łóżko pod baldachimem postawione prostopadle do sceny; obok łóżka drzwi ukryte. Po lewej stronie przy brzegu sceny sofa. Na prawo paki podróżne. Drzwi na prawo i na lewo*).

SCENA I.

ALFIERI — HRABINA.

ALFIERI (*w ubiorze podróżnym*).

Nie Ludwiko, to być nie może!

HRABINA.

Nie masz więc litości nademną!... (*chwytą go za rękę*).
Ach zabierz mnie z sobą!... (*upada osłabła do nóg jego*) albo
umrę u nóg twoich!

ALFIERI (*podnosząc ją*).

Ludwiko! Ludwiko ukochana! zażądaj krwi mojej, to ci jej nie odmówię... ale nie żądaj mojej niesławy!

HRABINA.

Twojej niesławy?... a ja mówiłam-że o mojej niesławie, kiedym się tobie oddała? Idź!... w twojem sercu próżność i pycha panują, ale nie miłość... Chciałeś mieć w liczbie ofiar swoich jedną z królewskim imieniem... i mnie poświęciłeś bez miłosierdzia... (*placze i załamuje ręce*). I cóż ja teraz pocznę nieszczęсна?!

ALFIERI.

Ja ciebie poświęciłem?... Ależ zerwałbym nie jedyną wiążącą mnie do życia... Czemuż nie chcesz mi zawierzyć Ludwiko. Ja cię nie porzucam, wrócę i będę skrycie przebywał w Rzymie?... Przysięgam ci to!... lecz dziś muszę jechać... dałem na to moje słowo, bo to był jedyny środek uniknięcia okropnego wybuchu.

HRABINA.

Chcesz uniknąć wszelkiego wybuchu raz na zawsze, więc zabierz mnie, zaklinam cię raz jeszcze na wszystko co masz najświętszego na ziemi! Pojedziemy w odległą jaką stronę, przybierzemy inne nazwiska i świat o nas wiedzieć nie będzie!

ALFIERI.

Na co mi się zda ukrywać moja najdroższa. We Włoszech zostałoby imię moje, wystawione na obelgi, potępione na wieczne czasy!

HRABINA.

Wiktorze, kto nie czuje się zdolnym rzucić dla kobiety w przepaść — siebie, swoje imię i wszystko co mu najdroższem, ten kłamie bezczelnie, gdy mówi że ją kocha.

ALFIERI.

Och Ludwiko! ty nie wiesz jaką pracą, jaką ciągłą z siebie ofiarą poeta dobija się tego wieńca, który mu zawieszają na grobie... W tych tragediach, które rozgłosiły imię moje po świecie, o moja najdroższa! są wszystkie łzy, jakie w życiu mojem wylałem, wszystkie krzyki, które się kiedykolwiek z piersi mojej dobyły, wszystkie myśli szlachetne, które wypielegnowałem w mojej duszy. Ja żyłem dla moich tragedyj, dla nich wszystko zbierałem na mojej drodze, do nich wszystko odnosiłem!... Dla nich rozdwoiłem moją własną istotę, aby zimny rozum patrzył mi w serce, gdy najmocniej bije. I takim to sposobem stałem się ulubionym poetą mojego narodu! Publiczność kocha moje utwory, bo powiada: Alfieri daje nam, co w sercu swoim czerpie!... Ale niechby się dowiedziała, że ten poeta ulubiony uwiódł i wykradł żonę swojego gościa — nieszczęśliwego ksiąźęcia, którego ściągnął w tym celu do swojego domu — toby ta sława i miłość powszechna zamieniła się w pogardę, a dzieła moje na toby już tylko służyły, aby ponieść do potomności imię Alfieriego zdradą skalane i nieprzeblaganém potępieniem obciążone... O Ludwiko! (*kłęka przed nią*) teraz ja z kolei błagam cię o litość nad poetą dbałym o swą sławę... nad patrycyuszem rzymskim, dbałym o swój honor!

(*Hrabina upada na sofę*).

SCENA II.

CIŻ — KAROLINA.

KAROLINA (*wpada gwałtownie w negliżu z chusteczką na piersiach — do hrabiny*).

Uciekaj... uciekaj pani!... Mąż cię szuka, aby cię zabić! Idzie tu z ogrodu... (*do Alfierego*) Ratujże ją panie!... słyszę już chód jego w alei ogrodowej!

ALFIERI (*do hrabiny — otwierając skryte drzwi*).

Uciekaj pani!

(*Hrabina stoi osłupiała — Karolina ciągnie ją za rękę ku drzwiom*).

KAROLINA.

Ratuj się!... ratuj się pani!... (*wypycha ją za drzwi i przez nieuwagę zamyka*). Ach! zostałam z nim sama jedna!... (*szuka klamki — nie mogąc jej znaleźć, do Alfierego*). Otwórzże mi panie na Boga!

(*W tej chwili wchodzi ks. Karol i Dunbar. Karolina upada na kolana ze zwróconą ku drzwiom skrytym twarzą, którą zakrywa rękami*).

SCENA III.

ALFIERI — KAROLINA — DUNBAR — KS. KAROL —
później MAC GREGOR.

KS. KAROL (*wymierzając pistolet przeciw Karolinie*).

Oto jest zdrajczyni!

DUNBAR (*odtrącając mu pistolet*).

Wstrzymaj się Mości Książę! to nie hrabina! (*zbliża się do Karoliny i odrywając ręce jej od twarzy*). Ach! Karolina!

KS. KAROL.

Jakto? Karolina?!... (*zbliża się*) Karolino!... ty tutaj?!... po północy i prawie rozebrana!... Co tu robisz?... odpowiedz!... odpowiedz!...

DUNBAR.

Przyszłaś tu na schadzkę z tym Włochem?

ALFIERI.

Mylisz się pan.

KS. KAROL.

Nie!... nie!... tu była moja żona!... ona przysłała ją ostrzedz. Hrabina tu gdzieś ukryta... *(do Karoliny)* gdzie ona jest?... powiedz mi, ażebym zabił tę nikezemnicę!... Gdzież ona jest?... *(wstrząsa ramieniem Karoliny)* powiedz! rozkazuję ci!...

KAROLINA *(słabym głosem)*.

Mój ojeze!... jój tu niema!...

ALFIERI.

Niema jój.

KS. KAROL.

Któraż z was dwóch jest kochanką tego człowieka?! — Mówże do stu piorunów! Wszakże to ona! żona moja!

KAROLINA *(zawsze na kolanach)*.

Nie mój ojeze!...

KS. KAROL.

A więc... ty!?

KAROLINA *(podnosząc się heroicznie)*.

Ja!

KS. KAROL.

Ty!.. Przez Boga!..

ALFIERI *(na stronie)*.

Cóż ona uczyniła!... jak ją ratować!

DUMBAR.

Ty?!.. Cały więc żywot twój był tylko ciągłym kłamstwem! *(do Alfieriego wyciągając szpadę)* Dobądź szpady hrabio Alfieri.

KS. KAROL (*stając między nimi*).

Do mnie należy ukarać tego nędznika!... O Boże! ta jedna istota była radością i pociechą mojej starości... a ten nikiemnik ją zbezczescił!.. (*dobywa szpady*). Broń się lotrze!

ALFIERI (*podchodzi ku niemu nie dobywając szpady*).

Zabij mnie Mości Książę, nie bronię się... ale przysięgam na honor, że Karolina jest tak nieskałaną w tej chwili, jak kiedy weszła do tego pokoju.

MAC GREGOR (*wchodząc*).

Ach! cóż to się stało?

KS. KAROL

Ty śmiesz to mówić?... Kłamiesz bezczelnie! wszakże ona przyznała, że jest twoją kochanką!...

ALFIERI.

To nieprawda.

(*Ks. Karol chwije się i opiera się o łóżko, szpada mu z ręki wypada, Dunbar i doktor podtrzymują go, Karolina przybiega, Dunbar ją odpycha*).

DUNBAR.

Nie zbliżaj się do niego Pani! nie jesteś tego godną!

KS. KAROL.

Nie mam już siły utrzymać szpady, mogę tylko przekląć tego człowieka i... przeklinam go!... Wychodźmy... Wychodźmy z tego niecenego domu!... Pójdę do mojego brata. (*Do Karoliny zrozpaczonej stojącej na stronie*). A ty! nie waz się więcej pokazać mi na oczy!... zabraniam ci tego... Ani kropli krwi Stuartów w żyłach twoich nie masz... jesteś bezwstydnicą, której znać więcej nie chcę!

DUNBAR (*zbliżając się do Alfieriego*).

Za godzinę czekam Waćpana w jego ogrodzie (*podaje*

ramię Ks. Karolowi i wychodzą. Mac Gregor chce iść za nimi, Karolina chwytając go skrycie za rękę, prosząc znakiem, by pozostał).

SCENA IV.

MAC GREGOR — KAROLINA — ALFIERI.

KAROLINA.

Doktorze, masz-że trochę miłosierdzia w sercu?...

MAC GREGOR.

Cóż uczynić mogę dla pani? biedna Milady?... (*Zażywa*).

KAROLINA (*chwytając się za serce*).

Och!... zdaje mi się, że umieram (*chwieje się, postępuje parę kroków i opada nieprzytomna na sofę, dając tylko znaki życia nerwowymi ruchami. Doktor zaczyna ją cucić, Alfieri przybiega, żeby mu dopomódz*).

MAC GREGOR (*do Alfierego*).

Cóż się to stało? Nic w tém wszystkiem nie rozumiem jakem Doktor Oksfordzki (*kładzie rękę na sercu Karoliny*).

ALFIERI.

Karolina przyjęła na siebie winę, której nie popełniła i ojciec się jój wyrzekł... a jednak przysiągłem i przysięgam jeszcze wobec Boga, że ona jest niewinna.

MAC GREGOR (*trzymając rękę na sercu Karoliny*).

Cała krew zbiegła się u niój do serca — wielka arterya się rozdeła i ledwo nie pęka... Hm (*potrząsa głową*) to zaród śmiertelnój choroby.

ALFIERI (*odchodzi na stronę, załamuje ręce i do siebie*).

Zabiła się nieszczęsna! O Alfieri, wielki poeto! rzuć w ogień twoje tragedye od pierwszój do ostatniej. — Najszczytniejsze zmyślenia, na jakie zdobyć się mogłeś, jakże są

blade i blache wobec tego, co ona tu uczyniła — Ona poświęciła w jednej chwili wszystko, co było jój najdroższém na ziemi, — miłość — szczęście — dobrą sławę — i życie, ażeby ustrzedz ojca od zbrodni, a ty — z całym twoim geniuszem i twoją pychą, jakąż rolę odegrałeś obok niój? — rolę uwodziciela i nikezemnika — (*schyla smutnie głowę*).

MAC GREGOR.

Mości Hrabio... Ona wraca do życia. Zechciej mnie zostawić z nią samą.

(*Alfieri rzuca jeszcze raz wejrzenie na nią i odchodzi*).

SCENA V.

MAC GREGOR — KAROLINA.

(*Karolina oczy otwiera i podnosi się*).

MAC GREGOR.

Jakże się czujesz Lady Karolino.

KAROLINA.

Mogę już iść.

MAC GREGOR.

Odpocznij pani jeszcze chwilę.

KAROLINA.

Nie, już dzień zaczyna — podaj mi rękę Doktorze — pojdziemy do klasztoru Zwiastowania, gdzie będę błagać o przytułek.

MAC GREGOR.

Jestem na twoje rozkazy Milady.

KAROLINA.

Jedną jeszcze prośbę zanoszę do ciebie (*podaje mu rękę*),

jak do jedynego przyjaciela, jaki mi pozostał... mam przeświadczenie wewnętrzne, że to uderzenie krwi do serca jest zapowiedzią bliskiej śmierci dla mnie.

MAC GREGOR.

Nie ma jeszcze niebezpieczeństwa Lady Karolino — młodość cię uratuje.

KAROLINA:

O nie — naraziłam się na cios, który dosięgnął tu — głęboko! (*pokazuje na serce*) aż do źródeł życia — lecz nim umrę, — na znak, jaki ci przeszłę, uczyn, co będziesz mógł, ażebym raz jeszcze widziała mojego ojca ukradkiem — niespostrzeżona od nikogo. — To ostatnie moje życzenie. Przynajmniej mi, że go spełnisz.

MAC GREGOR (*solemnie*).

Przyrzekam ci to Milady.

KAROLINA (*ściskając mu rękę*).

Dziękuję ci! — Teraz chodźmy. —

(*Wychodzą. — Zasłona spada*).

KONIEC AKTU CZWARTEGO.

AKT PIĄTY.



(Pokój w mieszkaniu kardynała d'York. Obrazy świętych na ścianach. Po lewej stronie fotel, obok niego stoliczek, kanapa w głębi. Drzwi na prawo, na lewo i w głębi).

SCENA I.

MAC GREGOR *(z kapeluszem w ręku)* — HR. D'ALBANY.

HRABINA.

Sądziś więc doktorze, że to już koniec?

MAC GREGOR.

Bardzo wątpię, ażeby Księżę przeżył do jutra. — Hm... *(zażywa)*. Ja temu nie winienem. Wszyscy wiedzą, że tak pod względem dyagnozy jak i terapeutyki nie ustępuję żadnemu innemu doktorowi, ani w Szkocyi, ani w Anglii, ani w innych krajach Europy; ale cóż mogłem poradzić człowiekowi, który mnie w niczem słuchać nie chciał. — No, *(zażywa)* teraz muszę iść do téj biednej Lady Karoliny i powiedzieć jój, jak źle już z jój ojcem.

HRABINA.

A ona jakżeż się ma?

DOKTOR.

Także... bardzo źle. — Odwiedzam ją co dni kilka, ale choroby sercowe są nieuleczalne i znajduję ją coraz gorzej. — Dziś tak jest, że lada silniejsze wzruszenie niezawodnie ją dobije. Jednak zapewne ojciec ją jeszcze wyprzedzi.

HRABINA.

Gdybyś mógł ją tu przywieźć! — Ach przywieź ją koniecznie! —

MAC GREGOR (*zażywa*).

Dlaczegoż to Milady?

HRABINA.

Ażeby ją Ojciec raz jeszcze do serca przycisnął.

DOKTOR (*zażywa*).

Hm! — lecz on tego nie uczyni. — Wszakże się jój wyparł i dotąd nie pozwala nawet wspomnieć sobie o niej.

HR. D'ALBANY.

Uczyni to! — uczyni! — uczynić musi! — ja ci to zapewniam... ale zdaje mi się, że ktoś tu nieśmiało puka do drzwi.

(Doktor otwiera drzwi w głębi. — Wchodzi służka klasztorna).

SŁUŻKA.

Chciałabym mówić z doktorem Mac Gregorem.

DOKTOR.

Ja nim jestem.

(Służka mówi z nim chwilę po cichu i odchodzi).

DOKTOR (*do hrabiny*).

Lady Karolina jest tu za drzwiami.

HR. D'ALBANY.

Wprowadź ją, ja uciekam, ażeby mnie tu na wstępie nie spotkała.

(Odchodzi drzwiami na lewo, gdy tymczasem doktor wychodzi drzwiami w głębi i wprowadza Karolinę, zakrytą woalem czarnym i opierającą się na jego ramieniu).

SCENA II.

KAROLINA — DOKTOR.

KAROLINA *(uchylając woal)*.

Dowiedziałam się doktorze, że ojciec mój niebezpiecznie chory i... przyszedł tu, uczyniwszy ogromne wysilenie.

DOKTOR.

Usiądź Milady — widzę, że jesteś bardzo cierpiąca — *(prowadzi ją do kanapy, na którą ona opada)*.

KAROLINA *(słabym głosem)*.

Wszakże dotrzymasz przyrzeczenia.

DOKTOR.

Miałem właśnie iść po ciebie Milady; oto jest pokójk *(wskazuje na drzwi na prawo)*, w którym ukryć się możesz bezpiecznie, zostawiając drzwi nieco odemknięte. Księżę każe się tu niebawem wprowadzić podług zwyczaju swojego i będziesz mogła go widzieć ukradkiem, tylko bądź ostrożna.

KAROLINA.

Och! Nie obawiaj się niczego, będę tam ukryta, milcząca i nieruchoma jak posąg. Wszystko, czego pragnę jest ujrzeć go po raz ostatni i usłyszeć głos jego... czyż już koniec jego rzeczywiście się zbliża?

MAC GREGOR.

Życie jego liczę już tylko na godziny *(zażywa)* — bo to widzisz Milady od czasu, jak ciebie tu niema... księżę po-

padł napowrót w ten stan oplakany, w jakim go zastałaś przybywszy ze Szkocyi... Opuścił się zupełnie, o nie nie dbał na świecie i znowu uciekał się przeciw zmartwieniom, które go trawia, do szkockiej wódki... Wszystkie moje przepisy i napomnienia były daremne.

KAROLINA (*przerywając mu*).

A hrabina Albany, czyż go nie broniła przeciw temu powolnemu samobójstwu? (*Na stronie*) Przrzekła mi to jednak solennie w liście, który do mnie napisała.

MAC GREGOR.

Owszem, owszem, Milady, — Hrabina d'Albany jest ciągle przy nim i pielęgnuje go z troskliwością przykładowej żony, (*zażywa*) czego szczerze mówiąc, nie bardzo się po niej spodziewałem. Przytem i o tobie czule wspomina.

KAROLINA.

Więc mnie zastępuje.

MAC GREGOR.

O nie Milady! twojej duszy gorącej, twojej czułości płynącej pełnym potokiem nie nie zastąpi. — Hrabina, pomimo najlepszej chęci swojej, bardzo słabo działa na tę krnąbrną naturę, którą ty jedna potrafiłaś zupełnie ovladnąć (*słychać dzwonek*). To on dzwoni na mnie... Zostawiam cię Milady; odpocznij jeszcze chwilę, potem przejdź do tego pokoiku, bo tu może ktoś nadejść (*wychodzi*).

SCENA III.

KAROLINA (*sama klęka i składa ręce do modlitwy*).

Boże wszechmoeny, ręka Twoja zaciężyła straszliwie na moim biednym ojcu. Zmiłuj się o Panie nad nim w tej chwili ostatniej! Zrzekłam się dla niego wszystkiego, co było moim szczęściem na ziemi, dałam się odepehnać, potępić; znieważyc przez tych, których najwięcej kochałam i dziś tak

młoda jeszcze umieram z sercem rozdartém. Ojeze w niebie, niech to rozbite istnienie moje wystarczy na odkupienie grzechów, jakimi on mógł Cię obrazić. Pozwól mu choć umrzeć po chrześcijańsku, a mnie razem z nim powołaj do siebie. Och powołaj mnie razem z nim! ●ch powołaj mnie! niech go chwilę jedną nie przeżyję, bo upadam pod moim krzyżem... (*Hrabina wchodzi*). Ach ktoś tu jest (*zrywa się i chce uciekać*).

SCENA IV.

HRABINA — KAROLINA.

HRABINA.

Karolino! nie uciekaj — to ja (*zbliża się do niej i klęka przed nią*).

KAROLINA (*usiłując ją podnieść*).

Powstań Pani!

HRABINA.

Nie... moje miejsce u stóp twoich. Winnam ci życie, więcej nawet niż życie... i obok ciebie, niepokalana istoto, jestem tylko nędzną grzesznicą.

KAROLINA.

Powstań Pani, błagam Cię.

(*Hr. d'Albany podnosi się*).

HR. D'ALBANY.

Tak jest Karolino, hrabina d'Albany niegodną jest dotknąć kraju twojej szaty. Wychowana w próżności, zepsuta od lat dziecinnych, próżnością tylko żyła i sądziła, że wszystko jest jej dozwoloném (*cichszym głosem*) nawet złamać wiarę mężowi. Ale przy odbłasku twojej duszy rozwidniło się i w mojej. Tyś mi dała poznać, jaka to wielkość wyższa nad wszelkie tytuły, nad wszelkie zaszczyty, nad wszystko nawet co świat

uwielbia, jest w kobiecie, która ma moc wyrzec się szczęścia, zaprzeć się własnego serca, otrząść się ze wszystkiego, co jest w niej ziemskim, ażeby spełnić na ziemi posłannictwo anielskie. Och! wobec takiego poświęcenia wstyd mi było siebie saméj; postanowiłam podnieść się z upadku i dopełnić przynajmniej obowiązku pocziwéj żony przy umierającym mężu.

KAROLINA.

Wiem Pani, że ten obowiązek spełniasz sumiennie i szlachetnie, jakieś mi to przyrzekła na piśmie, z własnego natchnienia.

HR. D'ALBANY.

Niestety! nie mam twojéj władzy, którój Bóg udziela tylko duszom przeczystym, lecz znalazłam w sercu mojem czułość macierzyńską dla naszego biednego chorego i sądzę, że mu dałam tego dowody. Mam wszakże inny jeszcze święty obowiązek do spełnienia i spełnię go solennie Karolino. Ten ciebie się tyczy.

KAROLINA.

Mnie?

HR. D'ALBANY.

Tak. Zwróć ci miłość ojcowską i dobrą sławę, kosztem których wyratowałaś mnie od śmierci.

KAROLINA.

Ach Pani, nie myśl o mnie. Masz jeszcze długie lata życia przed sobą... a przedemną grób już otwarty. Cóż mi znaczy umrzeć potępiona przez tych, których... kochałam, kiedy tam (*pokazuje na niebo*) połączę się z nimi na wieki.

HRABINA.

Biedna Karolino! — Wiedziałam, że ofiara, jakąś uczyniła, była niepodobną do przeniesienia dla serca kobiety i tem świętszym jest mój obowiązek... Och! płaczesz (*przyciska ją do serca*) płacz Karolino... to są lzy kobiety, które się do-

były z twojego serca świętej... One Cię zbawią i będziesz jeszcze szczęśliwą.

KAROLINA.

Pani, ja umieram, pozwól mi dopełnić ofiary do końca. W niebie są za to nagrody... ale słyszę chód jakiś i jakieś głosy... ach! to głos hrabiego Dunbara... biegnę się ukryć, a nikt wiedzieć nie powinien Hrabino, że ja tu jestem.

(Idzie chwiejącym krokiem ukryć się w pokoju na prawo).

SCENA V.

DUNBAR — KABDYNAL — HRABINA —
KAROLINA *(za drzwiami).*

(Dunbar kłania się z uszanowaniem Hrabinie, która mu rękę podaje).

HRABINA.

Milord przybywa wprost ze Szkocyi.

DUNBAR.

Wracam jak żeglarz do portu po rozbiciu.

HRABINA.

Więc rozpoczęliście byli walkę?

DUNBAR.

Zgromadziliśmy znaczną liczbę górali i czekaliśmy w położeniu obronném na broń przyrzeczoną, ale upływały dni, tygodnie, miesiące nawet, a ani broń, ani żadna wiadomość od Księcia nie przychodziły. Tymczasem wojska angielskie w coraz większej liczbie pokazywały się wokoło nas, zajmując szczyty gór i wąwozy. Nasza drużyna, uzbrojona po starodawnemu, po większej części w miecze tylko i topory, poczęła upadać na duchu i w końcu rozprzegła się zupełnie, nie czekając, ażeby została opasana bez sposobu ratunku. Niestety całe nasze przedsięwzięcie rozpoczęło się pod złą wróżbą.

Przewidywałem przy wyjeździe, że mężne postanowienie Księcia obróci wniwecz zmartwienie, jakie mu sprawiła ta..., którą nazywał swoją córką.

HRABINA.

Ach! nie mów tego Milordzie! *(na stronie)* Ona nieszczęsna słyszy, co o niej mówi. *(Głośno)* Gdyście Panowie przybyli pociągnąć Księcia do nowej walki był to już człowiek stracony. Myśl, że będzie mógł jeszcze dobyć szpady i zwyciężyć lub zginąć za swoje prawa, odżywiła jego ducha, ale nie przemogła złego, które go trawiło i które wnet po waszym wyjeździe wybuchło z nową siłą.

DUNBAR.

Pani Hrabino, próżno taić, że prawdziwą jego chorobą jest teraz zgryzota. W osłabieniu fizyczném nie byłby zupełnie o nas zapomniiał, byłby nam przynajmniej dał znak życia. Zapomnienie takie daje się wytłumaczyć tylko przygnębieniem umysłu.

KARDYNAŁ.

Nie mówmy o tém. Trzeba się poddać wyrokowi Najwyższego. On dał koronę Stuartom i On ją odebrał. Dominus dedit, Dominus abstulit. Niech się stanie podług świętej Jego woli.

(Mac Gregor wchodzi).

MAC GREGOR *(do Hrabiny).*

Pani Hrabino, Książę cię prosi do siebie.

(Hrabina odchodzi).

SCENA VI.

DUNBAR — KARDYNAŁ — MAC GREGOR i KAROLINA
(za drzwiami na prawo).

MAC GREGOR.

Kłaniam uniżenie hrabio Dunbar. Wracasz do nas na smutek.

(Dunbar podaje mu rękę).

KARDYNAŁ.

Jakże się ma brat mój od chwili, kiedym wyszedł od niego?

MAC GREGOR.

Coraz gorzej Eminencyo. Symptomata są bardzo zastraszające i wątpię, ażeby do jutra mógł dożyć.

DUNBAR.

Co! Tak już źle jest?

(Karolina pokazuje głowę we drzwiach).

MAC GREGOR (zażywa).

Tak!... zaiste... Nie było ratunku, bo do chwili obecnej nie chce znać innego lekarstwa, jak swoją whiskey ulubioną.

KARDYNAŁ.

Nie chciał słuchać nikogo; jedna tylko osoba miała zupełną władzę nad nim i byłaby go przy życiu jeszcze lat kilka utrzymała... (z westchnieniem) to Karolina.

DUNBAR.

Ech, miłościwy panie, ona to go zabiła! Istota zwodnicza, ze wszystkimi pozorami cnoty, szlachetności idealnej, a w gruncie... Och! o ile kochałem niegdyś tę kobietę, o tyle wspomnienie jój jest mi dziś znieawidzonem.

KAROLINA (*we drzwiach do siebie*).

O Boże, to cios ostatni!... (*kryje się*).

KARDYNAŁ.

Nie potępiaj jój tak srogo mój przyjacielu. Żałuj jój raczej. Co do mnie, ani pojmuję nawet, jak ona mogła stać się tak występna.

MAC GREGOR (*zażywa*).

Bo nie była nigdy i nie jest występna.

DUNBAR.

Jakże możesz to twierdzić doktorze przeciw dowodom oczywistym i jój własnemu zeznaniu.

MAC GREGOR.

Ech! Mam poszlaki pewne, że to wszystko nie było prawdziwém. (*Półgłosem*) Ona ciebie jednego tylko kochała Milordzie... ale cicho, przyprowadzają księcia.

SCENA VII.

CIŻ — KS. KAROL — HRABINA i LOKAJ.

(*Ks. Karol wchodzi oparty na ramieniu hrabiny i lokaja — opada na fotel. Wszyscy się do niego zbliżają*).

HRABINA.

Karolu... Oto hrabia Dunbar, który powrócił ze Szkocyi... hrabia Dunbar... czy słyszysz?

KS. KAROL (*jakby zbudzony ze snu*).

Ach! Dunbar... syn lorda Murray... (*podaje rękę Dunbarowi, on ją całuje z uszanowaniem*) No, i cóż mi przynosisz nowego?

DUNBAR.

Mój królu i panie, zamiar nasz nie powiódł się.

KS. KAROL.

Zamiar?... jaki zamiar?... a... przypominam sobie, mieliśmy wojować w Szkocyi!... Ech!... to dzieciństwo!... Widzisz mój przyjacielu... moje przeznaczenie... jest umrzeć biedakiem... na to niema rady... *(do lokaja)* Moją wódkę!..

MAC GREGOR.

Widzi Jego Przewielebność! co tu począć?

KS. KAROL *(do lokaja)*.

No i czegoż tu stoisz głupcze! wódki mówiłem! *(lokaj wychodzi)*.

KARDYNAŁ.

Karolu... przestańże się zabijać... i tak śmierć już u twojego progu!...

KS. KAROL.

Mój bracie, ja nie mogę się obejść bez kilku kropel wódki... to jedno mnie utrzymuje...

MAC GREGOR *(odprowadza na bok kardynała)*.

Niech Wasza Przewielebność utwaja na jego bladeść martwą, na plamy żółte na twarzy, na te oczy zamglone... to kręw jego się rozkłada.

KARDYNAŁ.

Wieleż mu czasu pozostaje jeszcze do życia?

MAC GREGOR.

Zaraz powiem.

(Mac Gregor zbliża się zwolna do ks. Karola, bierze go za puls, patrzy na zegarek, po chwili wraca do kardynała).

KARDYNAŁ *(do Mac Gregora)*.

I cóż?

(Hrabina zbliża się do kardynała).

MAC GREGOR *(zażywa)*.

Godzina jedna najwięcej.

(Kardynał daje znak obecnemu lokajowi, ażeby się zbliżył, i daje mu ciche rozporządzenia, lokaj odchodzi).

HRABINA *(na stronie)*.

Niema już chwili do stracenia. Trzeba mu wszystko wyjawić. *(Lokaj przynosi na tacy flaszkę z wódką i kielich i stawia na stoliku obok księcia. — Hrabina głośno)* Karolu, posłuchaj mnie... mam ci uczynić wyznanie. *(Księżę nie słuchając jęj, chwytą flaszkę i chce sobie nalać. Kardynał wstrzymuje mu rękę)*.

KARDYNAŁ.

Bracie!... wiedz, że ostatnia godzina twoja bije.... i chcesz umrzeć nędzną i grzeszną śmiercią?

KS. KAROL *(obojętnie)*.

Co to znaczy, jaką śmiercią umrzeć... byle tylko raz skończyć!...

KARDYNAŁ.

Ale pomnij na imię, które nosisz. Jest nas dwóch ostatnich Stuartów... Ja poświęciłem się Bogu i nie należę do świata, ty jeden przedstawiasz teraz naszą dynastję! a cóż powie świat na taki jęj koniec?...

KS. KAROL.

Co powie świat? *(prostuje się dumnie z gorączkową siłą na fotelu)* świat! który czci tylko siłę i złoto... który się kłaniał podle przed zabójcą Kromwellem, przed zdrajcą Wilhelmem Orańskim a obelgi rzucał na ich ofiary... królów prawowitych... wyzutych z korony... ginących pod mieczem

katowskim... lub umierających na wygnaniu... Świat! który znać mnie nie chciał, gdy uległ pod przemocą... i ja mam w ostatniej mojej godzinie dbać o to, co on o mnie powie?... Pogardził zwyciężonym... (*padając na fotel*) a za pogardę... odpłacam mu pogardą!

KARDYNAŁ.

Ależ Bóg patrzy na ciebie. Masz już zaledwie czas pogodzić się z nim... Za godzinę Karolu, staniesz przed jego sądem straszliwym!

KS. KAROL.

Czemże ja jestem dla Pana Boga? — atomem!...

HRABINA (*rzucając się na kolana*).

Karolu! Karolu! posłuchaj mnie!... nie możesz umrzeć nie przycisnąwszy córki twojej do serca... Ona jest niewinna!

KS KAROL.

Ja nie mam córki!

HRABINA.

Ona jest niewinna, powtarzam ci to... i umiera z rozpacz.

KS. KAROL.

Niewinna! po takim bezwstydzie!... i hańbie!... nie! nie chcę jej widzieć!

KARDYNAŁ.

Zostaw go pani, niech się z Bogiem pogodzi! (*chce ją odsunąć*).

HRABINA.

Nie! muszę dopełnić świętego obowiązku i wyprowadzić go z okropnego błędu. Karolu! choćbyś miał mnie przekląć w ostatniej twojej godzinie, wiedz całą prawdę... (*Dunbar i inni zbliżają się*). To nie twoja córka była występna,

ona była twoim aniołem stróżem, z sercem niepokalanem... oskarżyła się o winę, której nie popełniła, ażeby rękę twoją od zabójstwa odwrócić!

KS. KAROL (*z krzykiem*).

Ach!... (*zasłania twarz rękami*).

DUNBAR.

Więc ona przyszła panią ostrzedz.... i zajęła twoje miejsce?!...

HRABINA.

Tak jest, ja byłam występnią — ona mnie ocaliła!

KS. KAROL.

Wszchemocny Boże! nie oszczędziłeś mi żadnej boleści; trzebaż było, ażebym już nad grobem znieważył jeszcze i odepchnął moje dziecko!... jedyną... ostatnią moją pociechę!... (*do hrabiny*) Kobieto niegodna! powróć mi moją córkę... powróć mi ją!... ale już nie czas!... śmierć już przy mnie... O Boże, mój Boże!

HRABINA (*zrywa się*).

Będziesz ją miał; ona jest tu! (*idzie szybkim krokiem do pokoju na prawo i wyprowadza Karolinę opadającą zupełnie na siłach i którą podpira — Mac Gregor przychodzi w pomoc hrabinie*).

MAC GREGOR (*półgłosem do Karoliny*).

Lady Karolino, będziesz-że miała siłę pożegnać się z ojcem?

KAROLINA.

Bóg mnie... może jeszcze chwilkę podtrzyma (*przyprawiając ją do fotelu księcia Karola*).

KS. KAROL (*głosem słabym i przerywanym*).

Chodź do serca mego Karolino!... (*Karolina rzuca się w jego objęcia, potem zsuka mu się do nóg*). Przebacz mi dzie-

cię moje!... Dunbarze, rękę twoją... prędko... (*Dunbar klęka przy nim podając rękę, księżę Karol szuka ręki Karoliny*)
O nie broń się Karolino!... twoja matka pragnęła tego małżeństwa — to jest i moje ostatnie życzenie.

KAROLINA (*z wielkiem wysileniem podnosi się i cicho do ojca*).

Zapóźno ojcze... ja umieram z tobą. — Umrzyjmy po chrześcijańsku. Przebacz żonie! Pogódź się z Bogiem... ach!
(*Opada na kolana, wydaje krzyk głuchy i głowa jej pochyla się na kolana Ojca*).

DUNBAR.

Cóż to jest o mój Boże!

KS. KAROL (*do siebie*).

Biedne dziecię... ona umiera ze mną.... (*spostrzega hrabinę d'Albany klęczącą opodal*) Ludwiko przebaczam ci — (*podaje jej rękę*)... oby ci Bóg także przebaczył. (*Do Kardynała*) Teraz bracie chcę umrzeć, jak chrześcjanin!
(*Dunbar i hrabina powstają. Karolina pozostaje przy ojcu nieruchoma z twarzą na jego kolanach. — Ks. Karol spowiada się cicho. — Tymczasem lokaj przynosi na wężglowiu szpadę ks. Karola i podaje ją Dunbarowi, który ją bierze w rękę. Inny lokaj otwiera drzwi w głębi; Wchodzą mnichy z gromnicami, bractwo pokutników białych, a za niemi publiczność. — Kardynał po spowiedzi zdejmuję z szyi swojej krzyż złoty i daje go bratu do pocałowania*).

KS. KAROL.

Ojcze Niebieski! odpuść mi moje winy, jako ja odpuszczam moim winowajcom i przyjm duszę moją na łono wiecznego pokoju!

KARDYNAŁ.

W Imię Chrystusa! rozgrzeszam cię Karolu Edwardzie Stuarcie!... Wracaj wygnańcze do Niebieskiej ojezyny!
(*Podkłada mu ramię pod opadającą głowę, Ks. Karol zwiesza ją i umiera*).

KARDYNAŁ (*kładzie jego głowę na poduszce w fotelu; i głosem uroczystym*)

Dynastia Stuartów skończona!

(*Dunbar zbliża się do fotelu, łamie szpadę i rzuca jej szczątki pod nogi zmarłego.*)

KARDYNAŁ (*do Karoliny nieruchomój u nóg ojca*).

Powstań dziecię moje!... śmierć już dopełniła swojego dzieła!...

(*Dunbar podnosi Karolinę, ona opada bezwładnie.*)

DUNBAR (*z krzykiem*).

Ach!... ona umarła!...

KARDYNAŁ (*kładzie rękę na jej sercu i po chwili*).

Pan Bóg prósb jej wysłuchał i powołał ich razem do siebie.

(*Wszyscy kłękają. — Zastona spada.*)

KONIEC.

